

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 38 (1048) 21 WRZEŚNIA 1980 R. CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

Największe przykazanie ■
Opowiadanie jesienne ■ Bóg
w życiu sławnych ludzi — Kry-
styna Urszula Wituska ■ Wi-
wat pomidory! ■ Powitanie
jesieni ■ Porady



Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Maria Konopnicka (1842—1910):
„Co ojczyzna” (fragment)

Twej ponęty, ziemio droga,
Mieć nie mogą obce strony;
Chata ojców, choć uboga
Jest to skarb nieoceniony!

Jan Nepomucen Kamiński (1777—1855):
Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale
(fragment)

A wieszcie (...) co to jest ojczyzna? —
Oto ja ci powiem:

Starzy ją zwali swym życiem, swym
zdrowiem,
Służąc jej wiernie w złym i w dobrym
losie.

Co jest ojczyzna? — To twej chaty ściany,
To dach twój stary, słomą poszywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twej woda, co cię rzeźwi w lecie,
To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka, cień twojej jabłoni,
To dzwon kościelny, co ci na mszę dzwoni,
To twoich sejmów trwałość i swoboda —
To twego ojca osiwiła broda.

Ludwik Kondratowicz (1823—1882):
Nocleg hetmański (fragment)



a pośrednictwem tekstów liturgicznych dzisiejszej niedzieli przedstawia nam Kościół trzy wielkie prawdy chrześcijańskie. a są nimi: Chrystus, Kościół, Miłość. Bowiern czytania mszalne (lekcja i ewangelia) przypominają nam, że Chrystus jest Synem Bożym, który króluje w chwale po prawicy Ojca aż do chwili swego triumfalnego powrotu na ziemię. Uczą, że Kościół jest mistycznym Ciałem Chrystusa, my zaś jesteśmy członkami tego Ciała.

Zwracają wreszcie uwagę, że miłość jest największym przykazaniem. Naczelnym zaś hasłem wynikającym z tych trzech prawd jest jedność chrześcijańska. Do tej jedności winniśmy usilnie dążyć, walcząc ze wszystkim co jej stoi na przeszkodzie

Największe przykazanie

— z naszymi uprzedzeniami do braci, z ludzkimi słabościami i w ogóle z grzechem.

Ewangelia dzisiejsza (Mt 22, 34—46) — będąca dalszym ciągiem polemiki Zbawiciela z przywódcami religijnymi narodu żydowskiego — chce nam ukazać najgłębsze przyczyny Jego odrzucenia i skazania na śmierć. Równocześnie jednak porusza ona bardzo ważne problemy życia religijnego człowieka i życie to należyce ustawia.

Był prawdopodobnie wtorek po uroczystym wjeździe Jezusa do Jerozolimy. Korzystając z Jego obecności na terenie świątyni, wrogowie raz po raz Go atakowali. Przed chwilą pokonani zostali przez Proroka z Nazaretu saduceusze, którzy dyskutowali z Nim na temat zmartwychwstania ciał (Mt 22, 23—33). Wówczas — jak relacjonuje Ewangelista — również „faryzeusze... zgrupowali się wokół niego” (Mt 22, 34). Niepoddanie saduceusów zachęciło ich przeciwników do podjęcia jednej jeszcze próby skompromitowania Go w oczach słuchaczy. Nieco wcześniej zostali oni pogiębieni, dyskutując z Chrystusem na temat płacenia podatku cesarzowi. Tym razem przedmiotem rzekomej trudności był temat przykazań Bożych. Toteż „jeden z nich, znawca zakonu, wystawiając go na próbę, zapytał: *Nauczycielu, które przykazanie jest największe?*” (Mt 22, 35—36). Nadmienić tutaj wypada, że prawo Mojżeszowe wyliczało aż 613 nakazów, 365 zakazów oraz 248 innych przepisów. Rabin dzielił je zgodnie na wielkie i małe, ale różnili się między sobą, gdy chodziło o uporządkowanie ich pod względem ważności. Dlatego faryzeusz, biegły znawca Pisma świętego — wiedząc jak wieloma nakazami, zakazami i poleceniami obciążone było życie pobożnego Izraelity — zapragnął z usta Jezusa usłyszeć autorytatywne rozstrzygnięcie. Było to jednak pytanie zdradliwe. Zbawiciel bowiem dając jednoznaczną odpowiedź, musiał tym samym odrzucić cały szereg zdań uczonych żydowskich w tym względzie, a przez to mógł wywołać długie i zawiłe rozprawy z przeciwnikami.

Z całą powagą przytoczył więc Syn Boży tekst z księgi Powtórnego Prawa, mówiąc: „*Będziesz miłował Pana, Boga swego, z całego serca swego i z całej duszy swojej, i z całej myśli swojej*” (Mt 22, 37). Wynikało z tego, że przytoczone przykazanie winno angażować po stronie Boga całego człowieka: jego serce, duszę i myśli. Następnie dodał: „*To jest największe i pierwsze przykazanie*” (Mt 22, 38). Jednak stanowisko Jego było inne, niż tradycyjne nauczanie rabinów żydowskich. Byli oni bowiem zdania, że wszystkie przykazania wyliczone w prawie Mojżeszowym mają tę samą wartość.

A chociaż nie pytany, dodał Jezus od siebie: „*A drugie podobne temu: Będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego*” (Mt 22, 39). Syn Boży nazywa je drugim, nie co do ważności, ale co do kolejności. Nie utożsamia więc miłości Boga z miłością bliźniego, ale chce powiedzieć, że miłość bliźniego reguluje całe nasze postępowanie wobec innych ludzi, tak jak miłość Boga ma wpływ na całokształt naszych wobec Stwórcy obowiązków. Nie od rzeczy będzie tutaj przypomnieć, że Chrystus w swym nauczaniu w sposób szczególny podnosił zawsze obowiązek miłości bliźniego, której ścisły związek z miłością Boga był przez Żydów (a zwłaszcza przez faryzeuszy) bardzo rozluźniony. Bezpośrednio potem podał Jezus motywację takiej miłości. Stwierdził bowiem, że „*na tych dwóch przykazaniach opiera się cały zakon i prorocy*” (Mt 22, 40). Do tej nauki Boga-Człowieka nawiązuje Apostoł, gdy pisze: „*Cały zakon streszcza się w tym jednym słowie, mianowicie: Będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego*” (Ef 5, 14) oraz „*Wypełnieniem ... zakonu jest miłość*” (Rz 13, 10). Zaś św. Augustyn powie później: „*Miłuj Boga nade wszystko, a zresztą czyn co chcesz*” — bo z pewnością nie złego nie uczynisz. I słusznie, gdyż istota woli Bożej zawartej w księgach Pisma św. wyraża się w owych dwóch przykazaniach. Bowiern do przykazania miłości Boga i bliźniego — niczym do wspólnego mianownika — da-



„Napominam was..., abyście postępowali tak, jak przystoi na powołanie wasze, z wszelką pokorą i łagodnością, z cierpliwością, znosząc jedni drugich z miłości...” (Ef 4, 1—4)

dą się sprowadzić wszystkie inne nakazy Boże. Wszystkie te cnoty mają w nim swe źródło.

Po rozstrzygnięciu zagadnienia moralnego, stawia Zbawiciel problem dogmatyczny. A równocześnie sam przechodzi do ataku rzucając pytanie, które wykaże, jak źle rozumieli Objawienie Boże owi rzekomo biegli nauczyciele narodu żydowskiego i to w sprawie najważniejszej, bo dotyczącej osoby Chrystusa-Mesjasza. Toteż „*gdy (w większej jeszcze liczbie) zeszli się faryzeusze, zapytał ich Jezus, mówiąc: Co sądzicie o Chrystusie? Czym jest synem? Mówią mu: Dawidowym*” (Mt 22, 41). Bowiern — stosownie do przepowiedni proroków — Mesjasz miał według ciała pochodzić z rodu Dawida. Prawda ta była powszechnie znana w narodzie żydowskim. Uważali bowiem Izraelici, że najwyższym tytułem do chwały Chrystusa jest jego pochodzenie od Dawida. Jednak współcześni Mu Żydzi oczekiwali od tego potomka Dawida pokonania Rzymian i wskrzeszenia królestwa ziemskiego. Jezus zaś chciał im zwrócić uwagę na wyższe, boskie pochodzenie i posłannictwo Mesjasza.

Odpowiadając swoim przeciwnikom, rzekł Zbawiciel: „*Jakże więc Dawid w natchnieniu Ducha nazywa go Panem, gdy mówi: Rzekł Pan Panu memu: Siądź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół twoich pod nogi twoje. Jeśli więc Dawid nazywa go Panem, jakże może być synem jego?*” (Mt 22, 43—45) — synem według ciała i doczesnym spadkobiercą jego tronu. Warto zauważyć, że Jezus nie zaprzeczył, iż Mesjasz jest synem Dawida. Przyjmując jednak synostwo Dawidowe Chrystusa, przytoczył słowa psalmu 110, w którym — pod natchnieniem Bożym — Psalmista nazwał Mesjasza swoim Panem. Zaś Bóg kazał mu usiąść po prawicy swojej, czyli postawił Go na równi ze sobą, a obiecując położyć pod Jego stopy wszystkich nieprzyjaciół, przekazał mu władzę królewską nad całym światem. Tak więc z przytoczonego tekstu Pisma św. wynika, iż obiecany Mesjasz będzie kimś nieskończenie godniejszym, niż największy z potomków Dawida.

Charakterystyczne jest zakończenie dzisiejszej perykopy ewangelicznej, gdzie św. Mateusz pisze: „*I nikt nie mógł mu odpowiedzieć ani słowa, ani też nikt od owego dnia nie odważył się go pytać*” (Mt 22, 46). Ostatnia bowiem odpowiedź Zbawiciela odebrała faryzeuszom ochotę do dalszych z nim utarczek słownych. Przekonali się wystarczająco, że w niczym Chrystusa nie podchwycą. A ponadto zabrakło im odwagi do dalszej dyskusji i stawiania podstępnych pytań, by nie ośmieszyć się wobec ludzi. Jednak przekonujące wywody Jezusa na temat Jego boskiego pochodzenia nie uleczyły zatwardziałości ich serc. Później — już w początkach II wieku — rabin rozwiązywał trudność w ten sposób, że uznali ów psalm za niemiesjanistyczny. Sugerowali również, że jest w nim mowa albo o Abrahamie, albo o samym Dawidzie, a także (jak podaje św. Justyn), o królu Ezechiaszu.

Wszystkie przykazania wskazują, jak mamy wypełniać podstawowe prawo miłości Boga i bliźniego. Jego wypełnianie stanowi o prawdziwej wartości człowieka. Prawdę tę przypomina nam św. Paweł, gdy pisze: „*Choćbym miał dar prorokowania, i znał wszystkie tajemnice, i posiadał całą wiedzę, i choćbym miał pełnię wiary, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym*” (1 Kor 13, 2). Praktyczną szkołą tej miłości są słowa dzisiejszej lekcji mszalnej, w której ten sam Apostoł zwraca się do nas, mówiąc: „*Napominam was..., abyście postępowali tak, jak przystoi na powołanie wasze, z wszelką pokorą i łagodnością, z cierpliwością, znosząc jedni drugich z miłości, starając się zachować jedność ducha w spójni pokoju: jedno ciało i jeden Duch, jak też powołani jesteście do jednej nadziei... jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest; jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest ponad wszystkimi*” (Ef 4, 1—6). Wzięły te są o wiele mocniejsze niż wszystko, co może nas dzielić. O tym chcemy pamiętać. Według wskazań Apostoła na co dzień postępujmy. W ten bowiem sposób przyczynimy się do tego, by na całym świecie powstała wielka rodzina dzieci Bożych.

Ks. JAN KUCZEK

W

awrzyniec J. Orzeł, doktorant historii na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii, jest wyznawcą Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Ameryce, poświęcił on niedawno miesiąc czasu na lekturę dokumentów zebranych przez ks. Wiktora Wysoczańskiego, odnoszących się do PNKK i Kościoła Polskokatolickiego. Jest członkiem wielu komisji PNKK, a jego publikacje na temat Kościoła zawierają krótką monografię pt.: „Rzym i ważność święceń w Polskim Narodowym Kościele Katolic-

kim”, artykuły w Polsko-Amerykańskich Studiach „Straży” i w „Roli Bożej”.

Historia Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Ameryce i Polsce stała się w coraz większym stopniu przedmiotem szczegółowych studiów zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak też w Europie. Istnieje wiele przyczyn tego zainteresowania. Studia etniczne, w szczególności te, które dotyczą imigrantów, jak np. Polaków, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych w wielkiej liczbie pod koniec XIX wieku, wzbudziły zainteresowanie naukowców poszukujących korzeni współczesnej kultury amerykańskiej. Podobnie w Polsce — historycy, socjologowie i inni, rozpoczęli w ostatnich latach gruntowne badania różnych środowisk polonijnych na całym świecie.

Jest rzeczą naturalną, że naukowcy Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego po obu stronach Atlantyku podjęli te zainteresowania i pragną prześledzić i zreinterpretować rolę i zadania PNKK w polonijnej historii religii. I niektórzy z nas, zarówno w Polskim Narodowym Kościele Katolickim, jak też w Kościele Polskokatolickim, muszą wziąć udział w tym ponownym badaniu i ponownej ocenie. Pierwszy Biskup Franciszek C. Rowiński tak na ten temat napisał:

„Czynimy to nie tylko z powodu podziwu dla heroicznej walki naszych przodków, ale także z tego powodu, że możemy znaleźć w naszej własnej historii lekcję, która ma ścisły związek ze strategią naszego rozwoju na dziś i na jutro”.

Jedną z największych przeszkód na drodze naukowych, obiektywnych studiów, jest brak dobrze urządzonego archiwum Polskiego



Biskup Franciszek Rowiński — od 1978 r. Pierwszy Biskup PNKK, uprzednio długoletni duszpasterz w Chicago oraz ordynariusz diecezji zachodniej z siedzibą w Chicago

O potrzebie badań nad historią Kościoła

Narodowego Kościoła Katolickiego i całkowity brak informacji na temat rodzaju dokumentów, które się w nim znajdują. Aby temu zaradzić i zachować istniejące materiały przed zniszczeniem i zaniedbaniem, Pierwszy Biskup Franciszek Rowiński, działając zgodnie z dyrektywami ostatniego Synodu, powołał w roku 1979 Komisję Historii i Archiwów.

Komisja ta, mając zapewnioną pomoc Najwyższej Rady Kościoła i Polsko-Narodowej „Spójni”, rozpoczęła swoją działalność gromadząc publikowane i nie publikowane materiały źródłowe. W kwietniu 1980 r. zorganizowano konferencję naukowców ze Stanów Zjednoczonych i Polski, na której zaplanowano publikację jeszcze w tym roku pierwszych wyników badań. Uczestnicy konferencji mieli ogromną ilość tematów do przedyskutowania i między innymi zapadła też decyzja, aby wysłać do Polski dwóch naukowców PNKK, w lecie 1980 r., którzy podjęliby poszukiwania i przeprowadzili badania materiałów archiwalnych potrzebnych do pogłębienia studiów historii PNKK. Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików wielkodusznie postanowiło pokryć wydatki związane z pobytami amerykańskich naukowców w Polsce, a Najwyższa Rada PNKK, dzięki poparciu Pierwszego Biskupa Franciszka Rowińskiego, równie wielkodusznie zapewniła fundusze na przelot z Ameryki do Polski i z powrotem. Osobami wybranymi do tego celu byli: Prof. Józef Wieczerek, któremu powierzono napisanie biografii biskupa Franciszka Hodura i Wawrzyniec J. Orzeł, autor niniejszego artykułu.

Moim głównym zadaniem w Polsce było przygotowanie inwentarza różnego typu dokumentów, znajdujących się w prywatnych i publicznych archiwach w Polsce — dokumentów, które traktują o PNKK w Stanach Zjednoczonych i Polsce. W tej pracy wielką pomoc okazał mi ks. mgr Wiktor Wysoczański. Prowadzi on od dawna badania na tym polu. Jak miałem możność stwierdzić, bezwzględna większość dokumentów dotyczy historii Kościoła w Polsce w okresie międzywojennym. Fascynująca opowieść o niezliczonych rozprawach sądowych i przesładowaniach, które przejść musieli pierwsi przywódcy Polskiego Narodowego Kościoła, żywo i dokładnie wylania się z lektury tych dokumentów. Inne dokumenty dotyczą stosunków między Kościołami w Ameryce i Polsce oraz ogólnej religijnej sytuacji Polonii amerykańskiej.

Jako dodatek do czysto naukowych poszukiwań, Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików umożliwiło mi krótką wizytę w Kra-

kowie, gdzie spotkałem wiele osób zaangażowanych w studium historii PNKK. Złożyłem także wizytę we Wrocławiu (22 lipca) i brałem udział w uroczystości św. Marii Magdaleny, patronki wspaniałej gotyckiej katedry polskokatolickiej. Ceremonie były rzeczywiście imponujące, a słowa zwierzchnika Kościoła — biskupa Tadeusza Majewskiego — skierowane do mnie podczas przyjęcia, wywarły na mnie głębokie wrażenie. Powitał mnie serdecznie, jako gościa w Polsce, a równocześnie mówił o potrzebie obiektywnego pisania o Kościele w Ameryce i Polsce. Pragnę skorzystać z okazji i tą drogą podziękować tym wszystkim w Polsce, którzy dopomogli mi w pracy, a zwłaszcza dr. Janowi Maluszyńskiemu — prezesowi STPK i ks. Wiktorowi Wysoczańskiemu — w STPK.

Moja krótka wizyta w Polsce, a także wizyta prof. Wieczereka, stanowią naturalnie tylko początek i małą część wielkiego zadania, które nas czeka. Naukowcy PNKK i polskokatolicy muszą zgromadzić i zidentyfikować wszystkie źródła dokumentów, mających związek ze studium o biskupie Hodurze i jego następcach. Powinniśmy wprawdzie współdziałać ze wszystkimi naukowcami, nie zważając na ich przynależność instytucjonalną albo założenia ideologiczne, jednakże, w pierwszym rzędzie, należy zachęcać do badań i pisanja naszych własnych autorów w Ameryce i Polsce.

Naukowa wartość takiej pracy jest oczywista, ale coraz więcej osób należy do niej wciągać. Nie można zrozumieć teraźniejszości ani planować przyszłości, bez poznania przeszłości. Jest to przede wszystkim prawdziwe w świecie współczesnym, w którym chrześcijaństwo stoi w obliczu bliźniaczego współzawodnictwa świeckiego humanizmu i materializmu. W końcu rzeczą nie mniej ważną jest potrzeba współpracy na polu badań między naszymi naukowcami Ameryki Północnej i Europy. Wysiłki te wzmocnią bez wątpienia historyczne i mające wielkie znaczenie więzy między Polskim Narodowym Kościołem Katolickim w Ameryce i jego bratnim Kościołem w Polsce. Tego rodzaju współpraca zwiększy także wzajemne zrozumienie i uczyni mocniejszą łączność między naszą, małą wprawdzie, ale ważną częścią Polonii amerykańskiej a polskim krajem ojczystym.

WAWRZYNIEC ORZEŁ

Z angielskiego przetłumaczył
KS. E. BAŁAKIER

Poświęcenie pojazdów mechanicznych w Kotłowie

W dniu 6 lipca br. w parafii polskokatolickiej w Kotłowie odbyła się uroczystość poświęcenia pojazdów mechanicznych. Od wielu już lat co roku przeżywamy ją w pierwszą niedzielę lipca.

O godz. 11.00 rozpoczęła się uroczysta Msza św. w intencji kierowców i wszystkich użytkowników dróg publicznych. Odprawił ją II Wikariusz parafii ks. Zdzisław Jankowski. Po Mszy św. tutejszy proboszcz inf. Zygmunt Koralewski przemówił do licznie zebranych wiernych. W swym przemówieniu zwrócił uwagę na wielkie dobrodziejstwa, jakie niesie ze sobą technika, postęp, pojazdy mechaniczne coraz szybsze i doskonalsze, ale jednocześnie przypomnieli i niebezpieczeństwa z tym związane. „Jest wiele nieroztropności, wiele brawury, która kończy się często tragicznie. Mammy bezpieczne i wspaniałe drogi, ale nie umiemy z nich bezpiecznie korzystać”. A dalej wezwał wszystkich korzystających z dróg do przestrzegania kodeksu drogowego, stwierdzając, że jest on po to „byśmy wyjeżdżając, czy wychodząc ze swych domów, wszyscy zdrowi i cali do nich powrócili”.

Po przemówieniu przy śpiewie „Kto się w opiekę”, wyruszyła procesja na plac przykościelny. Rzędy samochodów, motocykli, traktorów i motorowerów — to widok na dziedzińcu kościelnym. Ks. inf. Z. Koralewski odprawił modlitwę błagalną o Boże błogosławieństwo, a po niej chór i orkiestra rozpoczęły pieśń „Pod Twą obronę Ojciec na niebie”. Przy jej wtórze ks. Infułat poprzedzony krzyżem dokonał poświęcenia, przechodząc wśród szpalerów pojazdów. Na zakończenie uroczystości życząc kierowcom opieki Bożej i szerokiej drogi rozdał pamiątkowe obrazki. Z tej pięknej corocznej uroczystości w Kotłowie, wszystkim kierowcom i wszystkim użytkownikom dróg, życzymy opieki Bożej i „szerokiej drogi”!

H. M.



PROBLEM

ZŁA

W STARYM

TESTAMENCIE



W Starym Testamencie, w tej świętej księdze judeo-chrześcijaństwa, Bóg manifestuje swą imponującą wszechobecność, wszystko dzieje się w odniesieniu do Niego. Bóg na kartach Pisma Świętego bezustannie potwierdza swoją jedność, swoją wszechpotęgę i swoją dobroć, swój gniew i swoją sprawiedliwość. W odniesieniu do tego, bardzo mało miejsca zajmuje siła zła i jej wcieleństwo — Szatan. Zło jest ukazane zaledwie w kilku miejscach Starego Testamentu.

W Księdze Rodzaju opisane jest kuszenie pierwszej pary ludzkiej, w ogrodach Edenu. Ten fragment Pisma Świętego jest zbyt znany,

aby go przypominać. Ale koniecznie trzeba omówić pewne charakterystyczne cechy tego wydarzenia.

Wszystko, co Bóg stworzył, jest z natury dobre — świat stworzony przez Niego jest rajem dla człowieka, który jest jego panem. Stworzenie świata i upadek człowieka stanowią dwa odmiennie momenty, ale upadek dotyczy przede wszystkim człowieka; świat jest nim dotknięty wtórnie. Zło objawia się w postaci węży. Nigdzie nie jest powiedziane, że wąż jest zły z natury, lecz: że „...był najbardziej przebiegły ze wszystkich zwierząt domowych i polnych: na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia”

(Rdz 3,14).

To wydarzenie jest w pewnym sensie niejasne: skoro wąż jest tworem Boga, dlaczego nie jest dobry? Dlaczego Bóg poddał człowieka próbie? Motywy działania Boga okrywa tajemnica. A cóż oznacza to dziwne przekleństwo? Czyżby przedtem wąż poruszał się inaczej, niż pełzając i stąd niektórzy komentatorzy wysnuli wniosek, że pierwotnie był smokiem?

Zadziwiające, że ten tajemniczy przebieg wydarzeń nie spowodował żadnego komentarza ani wyjaśnienia w Starym Testamencie. Status węży również pozostaje całkowicie niejasny. W Księdze Rodzaju nie został on nazwany ani diabłem, ani szatanem. Można jedynie stwierdzić, że ze względu na rolę, jaką pełni, odpowiada dokładnie klasycznemu szatanowi. Podobnie jak on, jest kusicielem, uwodzicielem, kłamcą („...na pewno nie umrzecie... i będziecie jako bogowie” (Rdz 3,5). Wąż ponosi jedynie częściową odpowiedzialność za zło w stworzeniu, gdyż dobrowolnie godząc się na pokusę, człowiek jest odpowiedzialny za własny upadek, za cierpienia rodzącej kobiety, za trud człowieka na wyklętej ziemi, za śmierć i utratę rajskiej nieśmiertelności.

W Starym Testamencie elementy demoniczne ukazane są także w innej formie, np. w Księdze Powtórzonego Prawa (8,15), i w Księdze Liczb (11,6) mówi się o sarafach. Był to, prawdopodobnie, rodzaj pustynnych węży latających i zionących ogniem, o których mówi Księga Izajasza (24,29). Natomiast Se'irm są kosmatymi stworzeniami, przypominającymi kozła lub byka, którym składa się ofiary w miejscach położonych wysoko: „Sam sobie ustanawiał kapłanów na wyżynach dla czczenia kozłów i cielców,

które sporządził” (2 Krn 11,15). Były to pogańskie bóstwa, jak złoty cielec, które z monoteistycznego punktu widzenia traktowano jako demony.

W licznych tekstach (Księga Hioba, Księga Izajasza, Psalm) znajdują się aluzje do dwóch wielkich potworów pierwotnych, Behemotha i Leviatana, opisanych jako hipopotam i krokodyl, a które wydają się uosabiać Morze i Otchłań.

Najbardziej interesujące jest utożsamianie zła przez Hebrajczyków z przeciwnikiem, czyli szatanem. Nazwa „Szatan” pochodzi od słowa „satan”, co w starosemickim oznacza — „przeciwstawić się”. Słowo to używane było, m.in. w następujących okolicznościach: w Księdze Liczb (22,22) powiada się, że anioł stanął na drodze Balaama jako „szatan” — tzn. przeciwnik. W 1 Księdze Samuela (19,4) Filistyni obawiają się, żeby Dawid nie zachował się wobec nich jako „szatan”. Podobne znaczenie tego słowa znajdujemy w 2 Księdze Samuela i w 1 Księdze Królewskiej (5,4 i 11,14).

Po raz pierwszy w Księdze Zachariasza utożsamiono pojęcie złego ducha z pojęciem szatana. Ten ostatni przejawia już pewną autonomię, ale słowo to pisane jest jeszcze z małej litery: „Jahwe ukazał arcykapłana Jezuego. Stał on przed aniołem Jahwe, a po prawicy jego — szatan, aby go oskarżać (Zach 3,1).

W prologu do Księgi Hioba, gdzie autonomia Szatana jest bardziej podkreślona, pełni on wobec Boga rolę oskarżyciela. Kusi go, aby wystawił na próbę Hioba, a potem działa przeciwko Hiobowi. Wydaje się, że prolog został dołączony później — w samej księdze zło nigdy nie jest przypisywane złemu duchowi. Misterium

d. c. na str. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (489)

K

Konfirmacja — (łac. confirmatio — umocnienie) — to w wyznaniach protestanckich nazwa obrzędu religijnego i sam obrzęd, w czasie którego młodzież w latach 13—16 po zdaniu przed upełnomocnionym duchownym egzaminu ze znajomości zasad wiary protestanckiej składa w świątyni publiczne wyznanie wiary i zostaje uroczystie zaliczona w poczet gminy kościelnej i dopuszczona jako dorosła do uczestnictwa czynnego w życiu Kościoła, w jego nabożeństwach, przede wszystkim zaś do przyjmowania komunii, której pojmowanie jest inne niż w Kościele Katolickim (→ Komunia; → Luteryanizm; → Kalwinizm).

Konformiści — w słownictwie teologicznym jest to nazwa członków Anglikańskiego Kościoła Państwowego, więc tych którzy w 1662 roku przyjęli w Anglii tzw. Act of uniformity, złożyli przysięgę, na mocy której m.in. przyjęli w zreformowanym kościele ustrój episkopalny, a za głowę swego kościoła uznali i uznają każdorazowego króla Anglii; tych, którzy tego aktu nie przyjęli nazwano — niekonformistami.

Konfucjanizm — to nazwa jednej z trzech wielkich religii chińskich (obok → buddyzmu — i faoizmu), którego twórcą jest myśliciel chiński — Konfucjusz. Konfucjusz nie miał zamiaru stwarzać nowej religii i takiej nie stworzył. Zespół poglądów i praktyk później, po paru wiekach, jego zwolennicy i wyznawcy uczynili religią. Sam Konfucjusz stworzył raczej system moralno-społeczny o religijnym ukierunkowaniu. System ten, nazwany konfucjanizmem, został budowany na prawdziwie, czy poglądzie, iż człowiek z natury swej jest istotą społeczną i jako taka jest powiązany z innymi ludźmi bardzo wielo wiezami. Podstawowa społeczna komórka jest rodzina i jej życie, działania, potrzeby, interesy, itd., mają pierwszeństwo przed interesami i tzw. dobrem jednostki. W rodzinie ojcowi, który jest jej głową, przysługuje posłuszeństwo, a obojgu rodzicom szacunek i cześć dzieci; w życiu społecznym wobec równych — tu widać bardzo wyraźnie ówczesny chiński feudalizm — należy za-

chować grzeczność, ustaloną etykietę, wobec podwładnych — surowość i konsekwentne egzekwowanie wymagań i zobowiązań; wobec władzy — szacunek i cześć.

Konfucjusz — właśc. Kung Ciu; Czung — ni, albo też Kung-fu cy — (ur. 551. zm. 479 przed Chr.) — to myśliciel chiński, uważany za ojca klasycznego chińskiego intelektualizmu, twórcę obok → Lao-cy (Lao-tse) chińskiej filozofii. Konfucjusz szczególnie — społeczno-etycznej.

Nauka Konfucjusza (→ konfucjanizm) zawarta jest w czterech księgach klasycznych: Lun-yu (rozmowy), Ta-hio (wielka nauka), Czung-voung (zachowanie środka) i w księdze Meng-tse (nazwisko autora, ucznia Konfucjusza). W tych księgach przemawia Konfucjusz nie tyle filozof-teoretyk, ile praktyk, reformator, moralista, bo też jego celem było jak najkonkretniej i jak najpraktyczniej zwrócić uwagę swojego narodu na polepszenie obyczajów i podniesienie ostatnio upadłego poziomu życia ogółu Chińczyków. Chcąc to zrealizować, trzeba upowszechniać te wszystkie wskazania, przepisy i zasady przodków, których przestrzeganie przyniosło im w przeszłości dawniej pomysłowość i szczęście. Wytłaczonemu przez siebie kierunkowi praktycznemu Konfucjusz nie daje uzasadnienia spekulatywnego. Filozoficzno-etyczny system Konfucjusza jest tym jednak bardzo konkretnego realizmu ziemskiego i racjonalizmu. Stąd też ogranicza się do ziemskiego życia ludzi, nie siera poza grób. Jest po prostu praktyczną mądrością doczesnego życia. Według Konfucjusza człowiek z natury jest dobry. Ideałem człowieka wydaje mu się być człowiek szlachetny. A jest nim człowiek, w którym wewnętrzne usposobienie i zewnętrzne czyny, natura i wykształcenie, myśli i słowa stanowią pełną harmonię. Człowiek szlachetny nabyma wprawę wskutek swojego świadomego uporządkowania wysiłku czynienia dobrze, onierając się właśnie na naturalnym podkładzie dobra swej natury. Te naturalne i wypracowane sprawności czynienia dobrze nazwał cnotami, a najważniejsze z nich kardynalnymi. Cnotami kardynalnymi człowieka szlachetnego są: mą-

zła toczy się między Hiobem a Bogiem.

Pod inną jeszcze postacią zło ukazuje się w *Księdze Tobiasza*, która wprowadza na scenę Asmodeusza. To imię jest, prawdopodobnie, transpozycją perskiego demona „Aeshmō-daēva”, ale można je też wywieść od hebrajskiego „shamad”, co znaczy „niszczyciel”.

Niewiele jest tekstów w Starym Testamencie, które łączą te różne opisy szatana. Jednym z nich jest tekst z *Księgi Mądrości*, który łączy Szatana z węzłem z *Księgi Rodzaju*: „*A śmierć weszła na świat przez zawiść diabła i doświadczą jej ci, którzy doń należą*” (Mdr 2,24).

Z przytoczonych tekstów wynika ewolucja interpretacji zła w Starym Testamencie. Początkowo każde wydarzenie, dobre czy złe, było przypisywane Bogu, zgodnie ze słowami Izajasza: „*Ja jestem Jahwe, i nie ma innego. Ja tworzę światło i stwarzam ciemność, sprawiam pokój i stwarzam zło. Ja, Jahwe, czynię to wszystko*” (Jz 45,7).

W *Księdze Hioba*, jesteśmy świadkami kryzysu myśli hebrajskiej, a jest nim uświadomienie sobie faktu, że zarówno źli, jak i sprawiedliwi, ulegają złu. Księga ta nie daje rozwiązania, ale pogrąża nas jeszcze bardziej w tajemnicę woli Boga.

Dopiero w pismach apokryfi-

cznych (II w. przed Chr.) rozwija się w różnych wariantach nowa interpretacja zła, a bierze ona swój początek z analizy niezrozumiałego fragmentu *Księgi Rodzaju* (6,4), w którym czytamy, że „*synowie Boga zblizali się do córek człowieczych, te im rodziły (mocarzy)*” (Rdz 6,4). Ten fragment został zinterpretowany w apokryficznej *1 Księdze Henocha* (6,10) jako mit o upadku aniołów, którym przewodził Semyaza i Azazel.

„Ci (ich przywódcy) i wszyscy pozostali z nimi wzięli kobiety, a każdy wybrał z nich jedną, i zaczęli iść ku nim, i nauczyli się zaklęć i czarów, umiejętności karczowania korzeni i hodowania drzew... A Azazel nauczył ludzi wyrabiania szpad, mieczy, pułkerzy, pancerzy, pokazał im metale i umiejętność ich obróbki. bransolety, ozdoby, sztukę malowania oczu antymonem... i bieg świata...”

Ich kobiety wydały na świat olbrzymów, którzy pożerali wszystko, a zło rozpowszechniało się po świecie. Wtedy Bóg zesłał potop i uwięził złe anioły w ciemnościach, aż po dzień Sądu Ostatecznego. Warto zwrócić uwagę na ciekawy szczegół: upadłe anioły są cywilizatorami. Dalszy ciąg apokryficznej księgi przynosi oryginalne wyjaśnienie istnienia złych duchów, które odróżnia się od upadłych aniołów:

„A teraz olbrzymi, którzy narodzili się z ducha i ciała, będą wezwani na ziemię i na ziemi będzie ich siedziba. Złe duchy

wyszły z ich ciała... Duchy olbrzymów, nephilim, które gnębią niszczą, najeżdżają, walczą i okrywają ziemię żalobą, nie spożywają żadnego pożywienia, nie odczuwają wcale pragnienia, i są nierozzerwalne, duchy te powstaną przeciwko dzieciom ludzi i przeciwko kobietom, bowiem z nich są zrodzone” (15,8).

Złe duchy, które błądzą po świecie, nie są więc upadłymi aniołami, uwięzionymi do dnia Sądu, lecz duchami zrodzonymi z olbrzymów. Analogiczny mit znajdujemy w apokryficznej *Księdze Jubileuszów*, w której przywódca upadłych aniołów nosi imię Mastema. Wydaje się, że Bóg zesłał swoich aniołów, aby: „*nauczać ludzkie dzieci i pokazać im rozum i prawa na ziemi*” (*Księga Jubileuszów*, 4,5).

Ale aniołowie popełniają grzech i Bóg więzi ich w otchłani, gdy tym czasem demony, synowie olbrzymów, sprowadzają ludzi na manowce. Noe prosi Boga, aby go uwolnił od tych duchów złych. Z kolei przywódca demonów, Mastema, błaga Boga, aby pozostawił mu kilka z nich:

„Jeżeli bowiem niektórzy z nich nie będą mi pozostawieni, nie będą w stanie sprawować mojej władzy nad synami ludzi, a oni będą zdani na zepsucie i na błędzenie przed moim osadem, albowiem wielka jest złośliwość synów ludzkich”.

Istnieją ściśle więzy między wspomnianymi tekstami, a pismami esseńczyków. U esseńczy-

ków demon nosi imię Beliale, a opozycja Światło-Ciemność staje się tam rozstrzygająca. *Dokument Damasceński* — przeciwstawia Beliala Księciu Światłości. *Podręcznik Dyscypliny* wprowadza opozycję między „synami światła” a „synami ciemności”, i „imperium Beliala”.

Pod rozmaitymi imionami Szatan ukazuje się w innych tekstach. *We Wniebowstąpieniu Mojżesza* nosi imię Zebulos, w Apokalipsie według Abrahama — imię jego jest Azazel. W tym ostatnim tekście znajdujemy aluzję do pewnego rodzaju podziału władzy. Bóg mówi Abrahamowi, że „ten czas” należy do demona.

Należy wspomnieć jeszcze interpretację zła w piśmiennictwie rabinicznym, które uczy, że w człowieku istnieją dwa przeciwstawne sobie popędy: Jacer Ra — popęd zła i Jacer Tobh — popęd dobra. Talmud wręcz przepisuje Bogu stworzenie Jacer Ra w człowieku takim, jakim był przed upadkiem.

Powyższy przegląd był konieczny w celu ukazania pełnej ewolucji judaistycznej idei zła, co ułatwia perspektywiczną ocenę nauki zawartej w Nowym Testamencie. Należy pamiętać, że stopniowe wprowadzanie pozornie dualistycznej opozycji (dwa duchy, światło-ciemność) oraz coraz wyraźniejsze potwierdzenie władzy Szatana nad światem, dokonuje się w obrębie monoteizmu.

Oprac. MAREK AMBROŹY

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (490)

drość, ludzkość, sprawiedliwość, wierność i męstwo. Mądrość ułatwia człowiekowi obierać zawsze złoty środek. Ludzkość — uczy go „być człowiekiem” i sprawiedliwie realizować swój stosunek do wszystkich bliźnich. Sprawiedliwość zaś ceni wyżej od męstwa, jest ona bowiem sprawnością codzienną, potrzebną, męstwo zaś od czasu do czasu, jest raczej działaniem doraźnym. W stosunkach z bliźnimi jest wreszcie potrzebna szczerłość i sumienne zachowywanie dawnych ceremonii i obyczajów, a więc kontynuowanie tradycji.

Konfucjusz nie był filozofem, ani teologiem, był praktycznym myślicielem i reformatorem, z którego myśli korzystało wielu późniejszych filozofów i etyków i reformatorów.

Kongregacja — (łac. congregatio = zjednoczenie, zrzeszenie,

zgrupowanie) — w słownictwie teologicznym oznacza w Kościele rzymskokatolickim: 1. zgromadzenie zakonne, którego członkowie składają tylko — śluby proste; 2. komisje kardynalskie w Kurii Rzymskiej (np. Kongregacja św. Oficjum; Kongregacja do spraw indeksu i in.); 3. ważniejsze zjazdy duchownych tak zakonnych, jak i świeckich; 4. szereg klasztorów stanowiących jedną organizację, np. zgromadzenie księży pallotynów; 5. stowarzyszenie o charakterze religijnym ludzi świeckich, członków Kościoła, istniejące i działające na zasadzie erekcji i aprobaty odnośnej władzy kościelnej. Wyróżnia się kongregacje na prawie papieskim (zatwierdza, itd. — papież) i na prawie diecezjalnym, biskupim (zatwierdza, itd., biskup ordynariusz).

Kongregacjoniści — → indysydenci.

Konklawe — (łac. clavis = klucz; zamknięte pomieszczenie; pod kluczem: cinclave = izba, pokój, komnata) — to nazwa, pochodzenia łacińskiego, oznaczająca: 1. zebranie → kardynałów, odbywane nie później niż w 18 dniu po śmierci → papieża w celu wybrania nowego papieża; 2. miejsce, w którym

dokonuje się wyboru nowego papieża, którym to miejscem już od dłuższego czasu jest kaplica Sykstyńska w bazylice św. Piotra w Rzymie. Konklawe odbywa się według ustalonych od wieków i tylko nieznacznie modernizowanych przepisów, wydanych przez papieży. Do najważniejszych przepisów należą następujące. Pap. Grzegorz X konstytucją *Ubi periculum* z 1274 roku zarządził, iż prawo wyboru papieża mają tylko kardynałowie, a uprzednio już pap. Aleksander III bullą *Licet ad vitandam* ustalił, iż większością 2/3 głosów, a wybór ma być dokonywany w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego, jakby w zamknięciu, pod kluczem (stąd właśnie wywodzi się nazwa). Niedużo zmiany do tych dwóch aktów prawnych wprowadzili papież: Pius XII (1945) i Jan XXIII (1962). Po śmierci papieża, gdyż papież jest wybierany dożywotnio, przewodniczącym kolegium kardynałów, czyli jego dziekan zwołuje konklawe i przewodniczy mu. On też, kiedy wybrany, czyli elekt, przymie wybór, pierwszy składa mu homagium, czyli wyraz czci i oddania, oraz następnie z balkonu bazyliki św. Piotra ogłasza wybór nowego papieża i imię, jakie on przybrał.

Konkomitancja — (łac. concomitor = towarzysze; concomitantia = towarzyszenie, współpraca) — to termin, oznaczający w teologii katolickiej pogląd, że wskutek wypowiedzianych we Mszy św. przez ważnie wyswieconego kapłana słów — Przeistoczenia pod postacią chleba (opłatka, hostii) jest obecne Ciało Jezusa Chrystusa, a pod postacią wina Krew Jezusa Chrystusa, ale właśnie na mocy konkomitancji, czyli naturalnego prawa współtowarzyszenia jednocześnie pod postacią chleba obecna jest i Krew Jezusa Chrystusa, a pod postacią wina i Ciało Jezusa Chrystusa. Wskutek zaś działania w tym przypadku prawa nadprzyrodzonego, czyli można powiedzieć nadprzrodzonej konkomitancji pod każdą z tych konsekrowanych Postaci obecne jest Bóstwo Jezusa Chrystusa.

Konkordancja — (łac. = zgodność) — to termin, oznaczający

70 ROCZNICA URODZIN PATRIARCHY PIMENA

Patriarcha moskiewski i całej Rosji Pimen obchodził 70 rocznicę urodzin.

Zgodnie ze swym życzeniem, patriarcha Pimen spędził dzień urodzin w słynnej Ławrze Troicko-Siergijewskiej w Zagorsku pod Moskwą. Jak informuje TASS, patriarcha Pimen za działalność patriotyczną w obronie pokoju i w związku z 70 rocznicą urodzin został odznaczony przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR orderem Przyjaźni Narodów.

ODEJŚCIE EKUMENISTY

Sekretarz generalny Holenderskiego Kościoła Reformowanego, dr Albert van den Heuvel, zrezygnował z wszystkich sprawowanych funkcji kościelnych i objął stanowisko przewodniczącego Socjalistycznego Stowarzyszenia do spraw Radia i Telewizji. Tym samym zakończył on także swoje członkostwo w Komitecie Naczelnym Światowej Rady Kościołów i złożył urząd pastora reformowanego. Jego decyzja spotkała się z dużą krytyką w kręgach kościelnych.

KONFESJA AUGSBURSKA

Menonici i baptyści zaangażowali do Kościoła luterńskiego, aby w związku z 450-leciem jego podstawowej księgi wyznaniowej, Konfesji Augsburskiej, odwołał zawarte w niej pojęcie nauki obu ewangelicznych Kościołów wolnych. Przedstawiciele obu wspólnot oświadczyli, że jeśli nie dojdzie do tego odwołania, wówczas trudno im będzie wziąć udział w uroczystościach jubileuszowych Konfesji Augsburskiej.

POMOC MIĘDZYKOŚCIELNA

Konferencja Kościołów Europejskich i Światowa Rada Kościołów powołała wspólnie Grupa Robocza do spraw Pomocy Międzykościelnej w Europie. Jej pierwsze posiedzenie odbyło się niedawno w Bötlingen (RFN). Podjęto uchwałę w sprawie finansowania ekumenicznych projektów oraz dyskutowano o problemie stworzenia funduszu, z którego finansowano by ewangelicznych duchownych, którzy nie otrzymują stałych pensji.

W IZRAELU

Ks. Marcel Dubois, dominikanin, mianowany został dyrektorem fakultetu filozoficznego Uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie. Po raz pierwszy duchowny rzymskokatolicki otrzymał w Izraelu tak wysoką nominację. Liczył on 60 lat i naucza na tym uniwersytecie od 1968 r.

W IRANIE

Iracki minister wychowa-

nia narodowego stwierdził, że w szkołach średnich wykluczone są klasy mieszane religijnie. Jednocześnie wydano zakaz przyjmowania do szkół mniejszości religijnych uczniów muzułmańskich.

APARTEID — ZWYRODNIENIEM

Dawid Botha, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli kościelnych w Afryce południowej, oświadczył, że apartheid jest „duchowym zwyrodnieniem” białego holenderskiego Kościoła reformowanego, do którego należy większość Burów. Głoszony przez ten Kościół apartheid bywa realizowany w praktyce przez władze państwowe.

PROTESTANCI W CHINACH

Ewangelicy w Chińskiej Republice Ludowej angażują się na rzecz utworzenia protestanckiego Kościoła narodowego. W liście otwartym do braci i siostr w całym Chinach przywódcy protestancyści powiadają się za zintensyfikowaniem pracy duszpasterskiej, która wiąże się z koniecznością stworzenia odpowiednich struktur kościelnych obejmujących cały kraj.

LUTERANIE A EKUMENIA

Wielu luteranckich przywódców kościelnych w USA wystąpiło z żądaniem nowego przemyslenia aktualnej sytuacji ekumenicznej i większego zaangażowania się luteran w ruch ekumeniczny. Przywódcy amerykańscy domagali się, aby Światowa Rada Kościołów i Światowa Federacja Luterancka przeanalizowały wspólnie zakres swej działalności w celu osiągnięcia większej współpracy i koordynacji.

TEOLOGIA ŚRK

Zaangażowanie humanitarno-polityczne Światowej Rady Kościołów nie opiera się na żadnej zwartej teorii teologicznej, jaka np. w Ameryce Łacińskiej jest teologia wyzwolenia. Wspólna podstawa takiego zaangażowania jest studium Biblii. Oświadczenie takie złożył zastępca sekretarza generalnego ŚRK dr Konrad Raiser.

WYRÓŻNIENIE EKUMENISTY

Pedagog brazylijski Paulo Freire, od 1973 r. doradca do spraw wychowania przy Światowej Radzie Kościołów, powrócił do swojego kraju, gdzie objął profesurę na Uniwersytecie w Sao Paulo. Jednocześnie podano do wiadomości, że Freire został odznaczony tegoroczną nagrodą Fundacji króla belgijskiego Baudouina do spraw pomocy w rozwoju.



Widok na ołtarz główny w kościele starokatolickim w Zurychu (Szwajcaria)

KOŚCIOŁY A BEZPIECZEŃSTWO

W zamku El Escorial k. Madrytu odbyła się konsultacja Konferencji Kościołów Europejskich na temat: „Kształtowanie zaufania na obszarze państw-sygnatariuszy Układu z Helsinek”. Uczestnicy konsultacji wystąpili z żądaniem bezzwłocznej ratyfikacji Układu SALT II oraz ścisłego przestrzegania 10 zasad Układu z Helsinek. Z Polski w obradach uczestniczył ks. prof. dr Witold Benedyktowicz, prezes Polskiej Rady Ekumenicznej.

W ALEKSANDRII

Po ostrej polemice między grupami biskupów nastawionymi ekumenicznie i antyekumenicznie Synod Grecko-Prawosławny patriarchatu Aleksandrii wypowiedział się na rzecz prowadzenia dialogu ze starokatolikami, rzymskokatolikami, anglikanami i Kościołami wschodnimi oraz reaktywowania współpracy w Światowej Radzie Kościołów.

MODELE JEDNOŚCI KOŚCIOŁA

W Monachium odbyło się sympozjum na temat: „Jedność Kościoła — cele i drogi”. Zorganizowano je z okazji przejścia na emeryturę rzymskokatolickiego teologa — prof. dr. Heinricha Friesa. Teologowie rzymskokatolicki i ewangelicy stwierdzili podczas dyskusji zgodnie, że przyszedł czas na wyobrażenie sobie jako poro-

zumienie w ważnych punktach doktryny.

POZYCJA KOBIETY W KOŚCIELE

Z inicjatywy Wydziału do Spraw Kobiety w Kościele i Społeczeństwie Światowej Rady Kościołów odbyła się w Genewie konsultacja na temat stosunków międzyludzkich i tożsamości płci. Konsultacja zajęła się przyczynami niesprawiedliwego podziału ról między kobietami i mężczyznami oraz zbadania, w jaki sposób ten stan rzeczy wpływa na życie tradycyjnej rodziny. Uczestniczący doszli do wniosku, że niezbędne jest wprowadzenie nowego stylu życia, jeśli w życiu ekonomicznym i społecznym chce się przewrócić dwukrotnie sytuację kobiet.

KOMISJA MIESZANA RZYMSKOKATOLICKO- PRAWOSŁAWNA

Bp Norbert Nossol, ordynariusz opolski i ks. prof. Wacław Hryniewicz z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego jako przedstawiciele Kościoła Rzymskokatolickiego oraz bp Sawa i bp Szymon jako przedstawiciele Kościoła Prawosławnego w Polsce wzięli udział w pierwszym posiedzeniu Mieszanej Komisji Rzymskokatolicko-Prawosławnej, które od 28 maja do 4 czerwca br. odbyło się na wyspach Patmos i Rodos. W spotkaniu uczestniczyło 60 biskupów i teologów reprezentujących oba Kościoły. Decyzja w sprawie powołania do życia Komisji Mieszanej zapadła w grudniu 1979 r. podczas spotkania papieża Jana Pawła I z patriarchą Konstantynopola Dymitriosem I.



A pora była jesienna...

(opowiadanie)

Pies szarpał się na łańcuchu i ujadł głośno, choć bez wielkiego przekonania. Kiedy doń przemówiłam — przestał szczekać i przyjaźnie pomachał ogonem. Drzwi leśniczówki były zamknięte — w obejściu ani żywego ducha. Byłam zmęczona dalekim spacerem i nie chciało mi się zabierać od razu w powrotną drogę. Przed domem stała ławka, więc usiadłam opierając plecy o ścianę porośniętą czerwono-złotym listowiem dzikiego wina. Cisza wczesnego jesiennego popołudnia działała kojąco. Słońce grzało jeszcze mocno, powietrze było lekko zamglone, las mienił się złoto i brązowo. Od kartoflisk ciągnął zapach dymu. W ogródku pyszniły się jeszcze kolorowe astry, a wśród zeschniętych krzaków szalwii snuły się cieniutkie srebrne niteczki pajęczyn. Na dróźnie leżała porzucona lalka i koń na biegunach, po którym skakały szwarliwe wróble.

Z prawej strony domu stały rzędy jabłoni, na których wśród przywędłych i poszarzałych liści czerwieniły się owoce. Uginające się gałęzie podparto troskliwie żerdziami. Przy jednym z drzew stała drabina z zawieszonym na niej koszem, snadź do zbioru jabłek przygotowanym. Niewysoki płot okalający leśniczówkę obsadzony był wielkimi słonecznikami, które zwracały swe zbrązowiałe twarze ku promieniom jesiennego słońca. Zza węgła domu wyszło stadko kaczek i kołyszając się zdążało równym rządkiem w stronę drewnianego koryta z wodą.

Pies przestał zwracać na mnie uwagę i leżąc wyciągnięty na boku mrużył żółte oczy w leniwej drzemce. Pachniało wysuszoną trawą, dymem z ogniska, a od lasu ciągnął jesienny zapach wilgoci i grzybów.

Spokój i cisza nastrajały trochę sennie i trochę melancholijnie. Idzie jesień — szkoda lata ...

Kiedy już miałam podnieść się z ławki i nie doczekawszy gospodarzy wyruszyć w powrotną drogę — pies zerwał się z głośnym, radosnym szczekaniem, płosząc kaczki, które z przerażonym kwakaniem rozbiegły się, wznosząc tuman kurzu.

Przed dom zajechał mały powozik zaprzęzony w tłustego siwka. Z bryczki zeskoczył młody człowiek w mundurze leśnika, pomagając wysiąść kobiecie i dwojgu dzieciom.

Przywitali się ze mną i kiedy wyjaśniłam, że przysłano mnie tu do pana Antoniego po miód — leśniczy powiedział:

— A to do mego dziadka. Ma tu ładną pasiekę i zawołany z niego pszczelarz. A miód! Ho, ho, stynie na całą okolicę! Proszę, poprowadzę panią do dziadka... —

Kobieta z dziećmi weszła do leśniczówki, a gospodarz poprowadził mnie przez warzywnik na tyły domu, gdzie wśród pięknych, starych lip stał nieprawdopodobnie mały, bielony wapnem i kryty drewnianym gontem domek. Były w nim tylko dwa okna i wąskie drzwi z rzeźbioną w drzewie futryną. Nad drzwiami, na jelenich rogach, wisiały pęki jakichś wysuszonych, mocno pachnących ziół. Patrzyłam na ten prawie nierealny widok, wyjęty jakby z dawnej, zapomnianej bajki z dziecinnych lat. Byłam już prawie pewna, że w domku mieszka dobra leśna wróżka. Tymczasem leśnik uchylając drzwi zawołał do wnętrza chatki:

— Dziadku Antoni! masz gościa po miód! —

W drzwiach stanął niewysoki starzec z długą, siwą brodą i białymi sumiastymi wąsami. Brązowa, poorana zmarszczkami twarz miała szlachetne rysy, a wyblakłe oczy uśmiechały się życzliwie. Podeszedł do mnie energicznym, zamasztyłym krokiem i podał mi suchą i twardą dłoń.

— Zapraszam pod lipę — powiedział niespodziewanie dźwięcznym głosem — co prawda nie czarnoleskie to lipy, ale mają ten sam urok jak u mistrza Jana. Ja tymczasem przyniosę miód na spróbowanie. Trzeba wiedzieć, co się kupuje. —

Pod pięknym rozłożystym drzewem stała dębowa ława i okrągły niewielki stół wkopany w ziemię. Starzec przyniósł ze swej chatki gliniany dzban pełen chłodnego mleka, masło, chleb razowy i miseczkę pachnącego, złocisto-bursztynowego miodu.

— Tylko w takim zestawieniu miód smakuje najlepiej — mówił z uśmiechem pan Antoni i spoglądał z zadowoleniem, jak z wielkim apetytem pałaszując smakowity podwieczorek. Kiedy chwaliłam smak chleba i miodu, powiedział z dumą w głosie, że chleb piecze wnuczka i masło też robi sama z mleka od własnych krów. — To dobra gospodyni, zopobiegliwa i pracowita — prawił — wie pani, leśniczy to mój wnuk, no i miała pani możliwość widzieć moje prawnuki. Dobrze i miłe dzieciaki. Chłopiec ma trzynaście lat, dobrze się uczy i chyba będzie leśnikiem, jak ojciec. Nauczyłem go kochać las, przyrodę i leśne zwierzęta. Dziewczynka jest młodsza o trzy lata. Nie wiem co z niej wyrośnie.

Może będzie nauczycielką i pójdzie w ślady swego pradziadka. —

— A to pan nie jest leśnikiem? — spytałam.

— Nie, ja byłem nauczycielem w wiejskiej szkole. Już od wielu lat jestem na emeryturze. Teraz zajmuję się pasieką i ... piszę historię tego regionu. Chcę w niej utrwalić losy ludzi ciekawych i szlachetnych, zasłużonych dla tej ziemi, aby pamięć o nich nie zginęła. Ot, taki sobie opis starych dziejów, z myślą, że może przyda się moim prawnukom, aby tę ziemię pokochali, zostali na niej i poświęcili jej swoje siły i pracę. A ziemia to piękna i potrzebuje naszej troski i miłości. —

Śluchałam z zainteresowaniem jego pięknej, potocznej polszczyzny i podobał mi się coraz bardziej sposób bycia tego starego człowieka. Cechowała go bowiem pełna godności niedzisiejsza szarmaneria i wielki urok człowieka z wrodzoną kulturą.

— Głównie jednak zajmuję się pszczolami — ciągnął dalej — Nie wiem, czy zna pani życie pszczoł. Muszę stwierdzić, że poznawanie i studiowanie pszczelej społeczności — to czas nie stracony. Wiele się człowiek może od nich nauczyć, jako że żyją i pracują wedle mądrego i znakomitego systemu. A wie pani, jak tu jest cudownie, kiedy kwitną lipy? Zapach kwiecistych i szum pszczoł jest czymś niepowtarzalnym i chyba nigdzie na świecie nie jest tak pięknie jak tu, w czasie kwitnienia lip, brzęczenia pszczoł i ptasich koncertów. Ot, najpiękniejsza symfonia, którą tylko natura zdolna jest ofiarować człowiekowi. Mogłem zamieszkać u syna w Warszawie. Jest inżynierem i wielokrotnie zapraszał mnie do siebie na stałe. Ma piękny dom, samochód, ale cóż bym robił w tym gwarnym, wielkim mieście wśród kamiennych tuneli ulic. Byłem tam z parotygodniową wizytą. Nie dają mi ruch i pośpiech wielkiego miasta. Żał mi ludzi, którzy w tym zgielku rozpedzonych samochodów i nerwowym tempie życia nie dostrzegają nadejścia wiosny, nie czują zapachu kwitnącej lipy i oddalają się od przyrody tracąc z nią kontakt. Myślę, że to ma niezbyt dobry wpływ na psychikę ludzką. Dlatego tu czuję się najlepiej, tu jest moje miejsce.

*„Inszy niechaj palace marmurowe mają
I szczerym złotogłowie ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gnieździe ojczystym,
A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,
Pożywieniem ućwiym, ludzką życzliwością,
Obyczajami znośnymi, nieprzykrą starością” —*

Staruszek zacytował płynnie fraszkę Kochanowskiego „Na dom w Czarnolesie” i pomyślałam wtedy, że atmosfera tego zakątka ma w sobie rzeczywiście wiele z czarnoleskiej aury. Poprosiłam, by opowiedział coś jeszcze o swym życiu. Zgodził się chętnie i przyniósł ze swej chatki drewnianą, pięknie rzeźbioną szkatułkę, z której wyjął stare fotografie. Niektóre zdjęcia były bardzo wyblakłe i ledwie czytelne. Na pierwszym z nich ujrzałam niemłodą kobietę o ciemnych włosach i łagodnej twarzy.

— To moja towarzyszką życia — rozpoczął pan Antoni — żoną była dobrą i wyrozumiałą, człowiekiem prostym i mądrym. Przeżyliśmy wspólnie wiele lat w wielkiej zgodzie, miłości i wzajemnym poszanowaniu. Zmarła dziesięć lat temu tak cicho i spokojnie — jak cicha była przez wszystkie lata swego pracowitego i niełatwego życia. Wierzę, że tam gdzie odeszła, Pan nasz Sprawiedliwy zgotował jej zasłużony odpoczynek, a ja mogę już tylko powiedzieć za mistrzem Janem:

*„Teraz, kiedyś w tym zimnym położona grobie,
Czym Cię innym mam ućcić — jeno płaczem swoim,
Którym ja wieczny winien wielkim cnotom twoim”.*



Staruszek siedział długą chwilę w milczeniu, przymknąwszy oczy, ze wsparcią na dloni siwą głową. Wolno, wolniutko opadał z drzewa liść, bezszelestnie i miękko spłynął na dębowy stół. Pan Antoni dotknął go palcami i powiedział:

— Lecą liście z drzew, pora już jesienna i melancholia nastraja, ale ... „ustąp melancholija”! O proszę, niech pani spojrzy, tu na szeregu fotografii mężczyźni z mego rodu — wszyscy w mundurach. Mój dziad, ojciec, tu — ja, a tu — synowie. Mundury się różnią, ale u wszystkich rycerskie serce, które nakazywało stawać w potrzebie, gdy ojczyzna wzywała. Miałem czterech synów. Dwóch zabrała ostatnia wojna. Dwóch żyje. Jeden, jak już mówiłem, w Warszawie, drugi jest nauczycielem we Wrocławiu. To właśnie jego syn, a mój wnuk, jest tu leśniczym, a ja przy nim dożywam swoich dni. Mam tu w swojej chatce sporo książek. Muszę pani powiedzieć, że poezja jest moją ulubioną lekturą. Kiedy jeszcze uczyłem w szkole, wpajałem w swych uczni rozumienie dla wspaniałych wartości poezji Kochanowskiego. Teraz czytuję ją swym prawnukom, choć jeszcze może niewiele z niej rozumieją. Może jednak potrafię zaszcześcić w nich zainteresowanie tym złotoustym naszym poetą. Cane życie czerpałem z niego mądrość i pozostałem mu wierny.

Opowiadanie pana Antoniego przerwał nadbiegający od strony ogrodu prawnuczek. Chłopiec niósł w rękach zwiniętego w kłębek jeża.

— Dziadziu! — wołał z przejęciem — znalazłem w ogrodzie jeża! Co z nim zrobimy? —

Staruszek pogładził chłopca po rozwichrzonej czuprynie i zapytał z uśmiechem:

— No, jak myślisz mój zuchu? Gdzie mu będzie najlepiej? —

— Myślę... zastanawiał się mały — że chyba w lesie, tam skąd przyszedł, ale chciałbym go zatrzymać. Dziadziu! Będę go karmił i pielęgnował, on się oswoi i zaprzyjaźni ze mną, pozwól dziadziu... —

— Posłuchaj — przerwał mu stary człowiek — wiem, że chciałbyś zrobić przyjemność sobie, ale jemu zrobisz krzywdę. On nie będzie się czuł dobrze w niewoli. Pan Bóg stworzył go do życia w lesie — na wolności i tam tylko będzie szczęśliwy. Odniesiemy go pod las, a on już znajdzie sobie drogę do domu. —

Chłopiec słuchał z uwagą i westchnąwszy z żalem przyznał: — Masz rację, dziadziu, na wolności będzie szczęśliwy. —

Pan Antoni podniósł się z ławy, a ja zorientowawszy się, że to już słońce nisko — podziękowałam za rozmowę i wspaniały podwieczorek, zamierzając udać się w powrotną drogę. Ale pan Antoni zaprotestował energicznie:

— Niech się pani tak nie śpieszy, gdyż despekt byłby to dla mnie wielki. Sad jeszcze rad bym pokazać i kilka bardzo starych uli figuralnych, miód przygotowuję, a potem odwiezę siwkami do domu. Droga dość daleka, a jesienny zmierzch szybko zapada.

Nie oponowałam, by „despektu” nie czynić panu Antoniemu, a i przebywanie w jego towarzystwie sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Poszliśmy tedy przez sad owocowy w kierunku lasu. Tam wypuszczony na wolność język popukkiwał gniewnie, ale poczuwszy swobodę szybkim truchcikiem pobiegł w najbliższe zarośla.

Kiedy jechałam do domu obładowana nie tylko wspaniałym miodem, ale i koszem dorodnych owoców — stary człowiek powoził w milczeniu tłustym siwkami. Słońce już chyliło się ku zachodowi i chłód ciągnął od lasu. Powołał gęśmi kolory jesieni. Leśnym duktem snuła się niebieska mgła, iak welon uciekającego lata. Milczał człowiek, las i ptaki, bo też pora była jesienna i jesiennie rozmyślenia.

JADWIGA KOPROWSKA



MODLITW...

AUSTRALIA I NOWA ZELANDIA

Jako część brytyjskiego imperium, Australia, poczynając od 1788 r., została ukształtowana przez przybyszów anglosaskich. Przez długi czas Kościół Anglikański cieszył się przywilejami, których nie zapewniano innym Kościołom; zwłaszcza Kościół Rzymskokatolicki cierpiał z powodu ograniczeń, które obowiązywały powszechnie w Wielkiej Brytanii do 1829 r. Inne Kościoły powstały przez działalność wybitnych przywódców kościelnych, przepełnioną duchem pionierskim.

Konsolidacja parafii, praca wychowawcza i opiekuńcza (zwłaszcza nad alkoholikami i ich rodzinami), ale także wzajemna polemika, dominowały w XIX stuleciu. W ramach działalności opiekuńczej doszło do pierwszych spotkań ekumenicznych.

Dzisiaj większość ze 14 milionów mieszkańców należy do Kościoła Anglikańskiego. 25% ludności stanowią rzymskokatolicy, a 10% są członkami nowego Kościoła Zjednoczonego Australii. Powstał on w 1977 r. przez połączenie kongregacjonalistów, metodystów i prezbiterian i jest gotów do przyjmowania dalszych członków. Kościół Luterński istnieje przede wszystkim w Australii południowej. Przez emigrację w XX stuleciu powstały szybko wzrastające parafie Kościoła Prawosławnego. W tym samym czasie Kościoły australijskie odkryły też swoją odpowiedzialność za zepchniętych przedtem w głąb kraju mieszkańców pierwotnych; pierwszymi, którzy się nimi zajęli, byli misjonarze rzymskokatolicy.

W Nowej Zelandii (odkryta w 1642 r., kolonia brytyjska od 1840 r., a od 1907 r. członek Commonwealthu) Kościół Anglikański w 1814 r., a Kościół Rzymskokatolicki w 1838 r. — rozpoczęli pracę misyjną wśród Maorysów, którzy przed stuleciami przywędrowali tutaj z Polinezji. Rosnąca liczba osadników europejskich zmieniła sytuację misyjną. Wśród 3.1 mln mieszkańców żyje dzisiaj tylko 150 000 Maorysów, z których większość stanowią protestanci. 40% ludności należy do Kościoła Anglikańskiego, 25% jest prezbiterianami, a 15% rzymskokatolikami. Szczególny problem społeczny stanowią w Nowej Zelandii robotnicy, którzy przybyli z wysp Pacyfiku.

Od 1941 r. istnieje Nowozelandzka, a od 1946 r. Australijska Rada Kościołów. Niemal wszystkie Kościoły obu obszarów są członkami Chrześcijańskiej Konferencji Azji i Światowej Rady Kościołów. Za pośrednictwem tych organizacji uczestniczą one w światowych programach pomocy. Pod względem misyjnym Kościoły te są aktywne na obszarze wysp Pacyfiku. Doniero od 1967 r. wzrasta współpraca z Kościołem Rzymskokatolickim. Zaproszenie do udziału w realizacji światowego programu rozwojowego zostało przyjęte zarówno przez Australijską Radę Kościołów

jak i rzymskokatolicką Konferencję Biskupów.

LISTA KOŚCIOŁÓW

Armia Zbawienia
Kościół Australii (anglikański)
Kościół Luterński Australii
Kościół Luterński Nowej Zelandii
Kościół Metodystyczny Nowej Zelandii
Kościół Prezbiteriański Australii
Kościół Prezbiteriański Nowej Zelandii
Kościół w Prowincji Nowej Zelandii (anglikański)
Kościół Rzymskokatolicki w Australii i Nowej Zelandii
Kościół Zjednoczony w Australii
Kościół Chrystusa w Australii
Kościół prawosławny
Towarzystwo Religijne Przyjaciół (kwakrzy)
Unia Baptystów Nowej Zelandii
Wspólnota Zborów Kongregacjonalnych w Australii
Unia Kongregacjonalna Nowej Zelandii
Zbory Baptystów Australii



Zjednoczone Kościoły Chrystusowe w Nowej Zelandii

Do naszej modlitwy dołączamy też rady ekumeniczne i wspólnoty robotnicze na płaszczynie lokalnej i krajowej.

Wspominamy również wszystkie ruchy i społeczności chrześcijańskie, które zwiastują Jezusa Chrystusa i służą Mu.

Podziękowanie i prośba

Dziękujemy Bogu

za Kościoły w Australii i Nowej Zelandii, za wszystkich pokornych i radosnych chrześcijan, którzy żyją dla chwały Bożej i pokoju między ich bliźnimi;

za wspólnotę Kościołów i chrześcijan, która przyczynia się do dawania wyraźnego świadectwa nadziei chrześcijańskiej.

Prosimy Boga,

by pobłogosławił pracę i służbę Kościoła Zjednoczonego w Australii;

by radość z powodu osiągnięcia jedności promieniowała z tego Kościoła na wszystkich innych;

by współpraca między Kościołami wzrastała na wszystkich płaszczyznach i stała się znakiem pokoju;

w intencji Kościołów prawosławnych w rozproszeniu, by zachowały wierność swemu dziedzictwu a jednocześnie dotrzymywały kroku wymogom epoki;

by pierwotni mieszkańcy Australii, Maorysi z Nowej Zelandii i wszystkie mniejszości doznały sprawiedliwego traktowania.

Modlitwa australijskiego chrześcijanina

Panie, Twój Krzyż eliminuje wszelką wrogość, rzywa wszelkie mury podziałów. Spójrz więc miłosiernie na cierpienia Twego Świata i uczyn nas przez moc Ducha narzędziem Twego pokoju. Tyś jest naszym pokojem teraz i na wieki. Amen.



WARSZAWSKIE FONTANNY

Przechodzimy koło nich codziennie, mijamy je w pośpiechu, najczęściej nawet ich nie zauważając. Fontanna — jak mówi encyklopedia — jest to urządzenie składające się ze zbiornika (w formie basenu, czaszy lub misy) z przelewem i trzonu z dyszą, z której tryska doprowadzona pod ciśnieniem woda. Fontanna może posiadać oprawę architektoniczną lub rzeźbiarską. Ustawiona jest na placach, dziedzińcach, w ogrodach, wolno stojąca lub przyścienna, powiązana z budynkami, niszami, grotami kaskadami. Znana była już w starożytności; dużą rolę odgrywała w architekturze islamu. W Średniowieczu umieszczana głównie na rynkach lub w ogrodach zamkowych. Bogactwo dekoracji rzeźb uzyskiwała w okresie baroku. Ale kto umiałby powiedzieć, ile właściwie jest fontann w stolicy?

W Warszawie największe i najokazalsze fontanny znajdziecie, oczywiście, pod Pałacem Kultury i Nauki. Stały się one już tradycyjnym miejscem spotkań i... niedozwolonych kąpeli warszawskich dzieci, szczególnie w upalne dni. Siedem wodotrysków, różnego kształtu i wielkości, otacza Pałac.

Najsłynniejsza z warszawskich fontann jest oczywiście — ta Saska. Była tak znana, że lud warszawski uwiecznił ją w swej piosence. O niej to śpiewał Grzesiuk: „W Saskim Ogrodzie koło fontanny, jakiś się facet przysiadł do panny”... Możemy spotkać się tam i dzisiaj, fontanna jest ciągle we wspaniałej formie, a woda bije wysoko w niebo z płaskiego talerza i rybnich paszczy.

Największe skupienie wodotrysków jest w Śródmieściu. Oprócz tych siedmiu pałacowych, dziesięć innych znajduje się w warszawskich parkach. Po jednej — w Saskim, Botanicznym, pięć w Parku Kultury na Południu i trzy w Łazienkach. Śródmiejską kolekcję uzupełniają wodotrysk na Ścianie Wschodniej, dwie mini-fontanny przy pawilonie Cepellii, oraz jedna — u zbiegu Marszałkowskiej i Hożej.

Prócz tego „pracują” fontanny: przed Pałacem Krasińskich, przed kinem Muranów (to ta, która przed wojną stała na Placu Bankowym), malownicza fontanna na Placu Dąbrowskiego oraz jedna w Dolinie Szwajcarskiej.

Charakterystyczne dla fontann starej Warszawy są występujące w ich rzeźbach symbole wodne: zwierzęta (ryby delfiny albatrosy i żółwie), a także postacie z wiekami, trójkami itp. Mamy w wodotryskach również przedstawicieli natury wodnego, np. fontanna z łabędziem przy ul. Gródeckiej, oraz słonna kaczka dziennikarska uwieczniona w kamieniu, oczywiście w osrodku przed Domem Stowarzyszenia Dziennikarzy na Foksal.

Najdalej wysunięty poza centrum stolicy jest kompleks fontann Wilanowa — jest ich osiem, trzy przed skrzydłem północnym południowym i na gazonie a pozostałe pięć, niestety nie zawsze są czynne.

Większość fontann, zwłaszcza tych starszych (w tym wszystkie wilanowskie) ma kształt owalny lub okrągły. Wśród tych nowszych częściej zdarzają się formy prostokątne. Kształt prostokąta ma wodotrysk na Ścianie Wschodniej, jedna z trzech fontann w Łazienkach oraz dwie mini-fontanny w Śródmieściu.

Ponadto, oprócz fontann i wodotrysków, Warszawa dysponuje jeszcze kilkoma, mln na Rynku Nowego Miasta oraz przy ul. Dolnej.

To byłoby właściwie wszystko, cały nasz zestaw fontann. Rzeczywiście w Warszawie ubierało się około trzydziestu wodnych oaz, chyba jednak, jak na milionowe miasto, jest to o wiele za mało, zwłaszcza że są one przecież prawdziwą ozdobą naszej stolicy.

Bóg w cieniu sławnych ludzi



Maryja stojąca pod Krzyżem (fragment obrazu florenckiego malarza)

Krystyna Urszula WITUSKA

Krystyna Urszula Wituska przyszła na świat 12 maja 1920 roku. Miejscem urodzenia był majątek Jerzew, gmina Krokocice, powiat Sieradz. Rodzicami byli Maria i Feliks Wituscy. Od 10 do 15 roku życia kształciła się w klasztornej szkole w Poznaniu. Małą maturę uzyskała w Warszawie. Od roku 1937 przebywała w Szwajcarii ze względu na słabe zdrowie. Wróciła tuż przed wybuchem wojny. W roku 1940 jej rodzinę wysiedlili Niemcy do wsi Pełczanka pod Cegłowem (powiat Minsk Mazowiecki), a Krystyna wyjechała do Warszawy. Tutaj brała udział w pracy konspiracyjnej w Związku Walki Zbrojnej (późniejsze AK). Została aresztowana w nocy z 19 na 20 października 1942 r. Przeszła przez Pawiak, więzienia niemieckie w Berlinie na Aleksanderplatz i Alt-Moabit oraz w Halle (Saale), gdzie w dniu 26 czerwca 1944 r. zginęła tragicznie — została ścięta.

Listy i grypsy więzienne były pisane przez Krystynę od listopada 1942 r. do czerwca 1944 r. W treści tych listów przewija się życie codzienne dziewczyny — Polki, która w tych ciężkich dla siebie chwilach nie zapomniała o Bogu, modlitwie i sakramentach świętych. Życie religijne było dla niej siłą i podporą w samotności i rozmyślaniu o śmierci. Przeczytajmy niektóre z listów Krystyny Wituskiej.

Berlin, 19 stycznia 1943 r.

Kochani Rodzice!

(...) Z moim zdrowiem wszystko dobrze, tylko nostalgia przyprowadza mnie czasem o smutek. Wielką pociechą jest dla mnie to, droga Mamusiu, że się za mnie modlisz, i że to nie pójdzie na marne.

Wycięliśmy sobie z tektury ładny krzyż i zawiesiliśmy na oknie. Pięknie to wygląda, gdy słońce wschodzi, albo w nocy, gdy iskrzą się gwiazdy...

Berlin NW 40, 30 maja 1943 r.
Alt-Moabit 12a

Kochani Rodzice!

(...) Kochana Mateńko! przyslij mi gruby zeszyt i ołówek, bo mam już na to pozwolenie, a także jeszcze jedno lustro, bo tamto podarowała mi moja przyjaciółka, tej mojej kochanej, za którą proszę Cię, módl się zawsze, gdy modlisz się za mnie...

Kochana moja mała Wandziu!

(...) Poproś Marysi, żeby napisała mi jeszcze raz te śliczne wiersze, jeżeli je jeszcze ma i pomódl się czasem za moją nieszczęśliwą, niepokieszoną Rosemarie, dla której strata Helmuta była straszliwym ciosem...

Mój kochany Teddy!

(...) Gdy na pożegnanie ostatni raz szybko uściskałam moją śmiertelną przerażoną mamusię, zdołałam jej tylko szepnąć: „Bądź mężna módl się za mnie!” Od razu wiedziałam, że to jest pożegnanie na zawsze...

Berlin NW 10, 28 marca 1943 r.
Alt-Moabit 12a

Kochani Rodzice!

(...) Modlę się stale, ale czasem czuję się tak, jakbym ręce wyciągała w próżnię...

Alt-Moabit, 25 kwietnia 1943 r.

Kochani Rodzice!

(...) Mam już pozwolenie na chodzenie do kościoła i dziś rano śpiewaliśmy w kaplicy: „Znikły już okropności grobu, wołamy: Śmierci, gdzie jest twoje zwycięstwo!”. Chcę wterzyć, że się znów wszyscy zobaczymy, że nawet i teraz nie będę sama tam, dokąd pójdę, tylu młodych przyjaciół będzie ze mną: Lolo, Staś, Tomek, Zbyszek...

Berlin NW, Alt-Moabit
9 maja 1943 r.

Ukochani Rodzice!

(...) Teraz jest maj i my wieczorem śpiewamy zawsze pieśni do Matki Boskiej, a w dzień wszystkie piosenki ludowe, wojskowe i wszystkie szlagiery, jakie znamy...

Berlin NW 40, 30 maja 1943 r.
Alt-Moabit 12a

Ukochani Rodzice!

(...) Teraz, gdy wiem, co znaczy cierpienie, tęsknota, chciałabym wszystkim od tego uchronić i zawsze modlę się, żeby Bóg opiekował się wszystkimi tymi, których kocham w Ojczyźnie...

Berlin NW 40, 13 czerwca 1943 r.
Alt-Moabit 12a

Kochani Rodzice!

(...) Dzisiaj są Zielone Świątki, byliśmy rano w więziennej kaplicy, dostaliśmy na śniadanie chleb z margaryną, za oknem jest słoneczna pogoda, nie pracujemy, tylko piszemy listy i czytamy książki, oto są nasze świąteczne nastroje...

4 lipiec 1943 rok
Alt-Moabit

Kochani Rodzice!

(...) Dziękuję za obrazek i litanie, ale nie wiem, czy ją będę odmawiała, nie nauczyłam się nawet tutaj modlić zbyt długo, ale wierzę, że Bóg nie opuszcza więźniarek...

Berlin, Moabit, 4 września

Kochana Helgo!

(...) Dzisiejszej nocy był szalony naloł... Gdy tak strasznie grzmiało, modliłyśmy się: „Kochany i dobry Boże, nie pozwól umierać porządnym ludziom”.

W więzieniu była też możliwość przystępowania do sakramentów św., spowiedzi św. i Komunii św.

Berlin, Moabit
23 maja 1943 r.

Ukochani Rodzice!

(...) Poprzedniej niedzieli byliśmy wszystkie trzy u spowiedzi i Komunii św...

Ale więzienie to przede wszystkim samotność.

Berlin, Moabit, 11 kwietnia 1943 r.

Ukochani Rodzice!

(...) W samotności można się wiele nauczyć, ale tylko do pewnego czasu. Również prorocy udawali się na pustynię, aby wstuchiwać się w głos Boga, ale nie wytrzymywali dłużej niż czterdzieści dni tak zupełnie bez ludzi...

A w tej samotności nieustanne pogłębianie siebie, nieustanna myśl o śmierci.

Alt-Moabit, 25 kwietnia 1943 r.

Ukochani Rodzice!

(...) Śmierć jest wybawieniem dla wszystkich ludzi i na tym świecie wierzę jedynie w tę wielką prawdę, którą tak często widzi się utrwaloną na ścianach więzienia: „Wszystko przemija”. Nie mam lęku przed śmiercią, w każdym razie nie jest on większy niż przed jakąś nieprzyjemną operacją, to trwa przecież tak krótko, moment i po wszystkim...

Berlin NW, Alt-Moabit
9 maja 1943 r.

Ukochani Rodzice!

(...) Ucięcie głowy trwa jedynie sekundę, a potem jest się już wolnym na zawsze od wszystkich strachów i smartwień, a Wy bądźcie mojej śmierci nigdy nie mogli zapomnieć...

A oto ostatni list Krystyny do rodziców.

Halle, 26 czerwca 1944 r.

Ukochani Rodzice!

Jakże ciężko pisać mi ten ostatni do Was list! Ale wierzę, minie lek przed śmiercią, nie żal za życiem, ale tylko i jedynie myśl, jak bardzo Was zasmucę, przynębia ostatnie godziny mojego życia. Chciałabym podziękować Wam raz jeszcze za Waszą miłość i troskę, za Twoje bezprawnie poświęcenie, najdroższa moja Mamusiu! Nie dane mi jest odwdziżyć się Wam za wszystko, co dla mnie zrobiłście, za radosne, bez troski dzieciństwo! Nie nłacz, Mamusiu, niech Bóg Cię pocieszy! Wiem, że przebaczyłaś mi dawno wszystkie zmartwienia i kłopoty, które Ci sprawiłam. Szukam słów, jakimi mogłabym Was pocieszyć, i znajduję tylko jedno zdanie, którym pani Wanda pociesza się po stracie Lolka: „Ukochani przez bogów umierają młodo”. Jestem zupełnie spokojna, wierzę mi, że zostanie spokojna do ostatniej chwili. Mój ostatni obowiązek względem Polski i Was — to umrzeć dzielnie!

Ukochany Tatusiu, najdroższa Mamusiu, jesteście dzisiaj tu ze mną i dziś rozumiem, jak bardzo Was kochałam. Wam poświęcam ostatnią moją myśl. Bądźcie dzielni! Żegnajcie!

Ks. BOGUSŁAW WOLYŃSKI



WIWAT POMIDORY!

To prawda, że warzywa i owoce spożywane w postaci surowej przynoszą organizmowi najwięcej korzyści. Nie oznacza to jednak, że nie mają one wartości po sporządzeniu z nich potraw.

O daniach z pomidorów, znanych i dość często przyrządzanych przez panie domu, nie będę tu mówić. Chcę tylko przypomnieć, że te owoce warzywne, to jedno z najbogatszych rodzimych źródeł witaminy C.

Mamy niemalże co roku wspaniałą urodzaj pomidorów. Poprawnie wykonane przetwory z dojrzałych pomidorów stanowią w zimie nie tylko miłe urozmaicenie naszych jadłospisów, ale odznaczają się dużą wartością odżywczą (poza wit. C pomidory zawierają sporo karotenu, tj. prowitaminy A, wit. grupy B, PP, a nawet nieco D.

E i K, zależnie od odmiany; mają też komplet soli mineralnych). Poza tym zawarte w pomidorach kwasy organiczne pobudzają apetyt i trawienie.

Aby jednak korzystać z przetworów pomidorowych była jak największa, trzeba pamiętać w czasie przerobu o stosowaniu nierdzewnych noży, nie obitych naczyń emaliowanych i cedzaków, dobrze pobielanych maszynek do soków i przecierów, o krótkim gotowaniu pod przykryciem, pasteryzowaniu w temperaturze nie wyższej niż 85°C i w czasie nie dłuższym niż 25—30 minut.

Pomidory utrwalone w całości, a więc nie przecierane, znacznie lepiej zachowują witaminy, mają też większe zastosowanie w naszej kuchni, a co najważniejsze, przygotowanie ich pochłania mniej naszych sił i czasu.

Do mało jeszcze u nas rozpowszechnionych przetworów należą pomidory kiszzone, a szczególnie pomidory konserwowane w całości, zanurzone w przecierze, tzw. „pelati” (importujemy je czasem z Bułgarii). Zachęcam do sporządzenia ich systemem domowym, są naprawdę smaczne, wykwintne i wygodne do podania jako zakąska lub dodatek do potraw z mięsa, jaj i ryb, ziemniaków i innych. Można je również dla poprawienia smaku posypać pieprzem i skropić oliwą.

Całe pomidory w wekach, tzw. „pelati”

Na litrowy słojej potrzeba około 1,5 kg pomidorów (dojrzałych na krzaku). Połowę tej ilości muszą stanowić pomidory twarde, jędrne, zupełnie zdrowe, mniej więcej jednakowej wielkości. Pozostałe mogą być mniej urodziwe, ale również dojrzałe i świeże, i te należy rozgotować we własnym soku, a następnie przetrzeć przez sito perlonowe. Do smaku dodać trzeba około 10 g soli i 15 g cukru na 1 l przecieru. Owocem ładniejsze układamy w ce-

dzaku, wstawiamy z sitem do wrzątku na 1—2 minuty, a potem zanurzamy w zimnej wodzie lub umieszczamy pod przyszcicem z zimną wodą. Kiedy skórka zacznie pękać, natychmiast ją ściągamy małym nierdzewnym lub kościanym nożykiem. Obrane pomidory należy ułożyć ściśle w idealnie czystych słojach i zalać gorącym przecierem pomidorowym, tak aby były w nim zanurzone. Słoje uszczelniamy gumkami, nakładamy pokrywkę, przyciskamy sprężynkami lub klamrami, wstawiamy do niewielkiego kociołka z ciepłą wodą (całkowicie w niej zanurzając) i ogrzewamy (pasteryzowanie) w temperaturze 85°C. przez 25 minut.

Dla zachowania ładnego koloru i witamin wskazane jest stopniowe, dość szybkie ochładzanie słojej przez odlewanie wody gorącej, a dolwanie zimnej (jednak nie bezpośrednio na szkło, bo pęknie).

Przecier pomidorowy

Ilość potrzebnego nam na zimę przecieru z pomidorów można obliczyć samemu, przyjmując, iż z 1,5 kg pomidorów otrzymuje się średnio 1 l przecieru naturalnego nie zagęszczonego. Jest to ilość wystarczająca na 10—12 porcji zupy. Taki gładki przecier po dobrawieniu do smaku solą, cukrem i sproszkowanym pieprzem oraz posypaniu posiekana zieleniną doskonale nadaje się także na napój odżywczy.

Pomidory należy przebrać, umyć, odkroić nadpsute części. Do emaliowanego naczynia włożyć owoce i pierwszą ich warstwę uenieść dłońmi. Przenieść na ogień i pod przykryciem doprowadzić prawie do wrzenia, a raczej do takiego stanu, aby łatwo było je przetrzeć i aby straciły „surowiznę”. Następnie na perlonowe sito-cedzak układamy po kilka łyżek pomidorów i przecieramy drewnianą pałką, odrzucając skórki i pestki. Gdy wszystkie pomidory zostaną przetarte, jeszcze raz trzeba przelać cały przecier przez gęste sito. Ponownie wstawiamy na ogień, doprowadzając przecier do wrzenia. Gorący nalezy przelać do przygotowanych wyprażonych butelek lub weków (twistów, feniksów) i natychmiast szczelnie zamknąć.

Konfitura z zielonych pomidorów

Na jej sporządzenie nadają się ostatnie w sezonie, niedojrzałe lub też niewyrośnięte pomidory. Umyte pomidory kroimy w niezbyt grube plasterki lub cząstki, usuwamy pestki, a następnie zanurzamy na około 2 minuty we wrzącej wodzie. Bardzo starannie

należy je odsaczyć, po czym kłaść na gęsty syrop gotujący się z dodatkami laski wanilii i paroma skrawkami skórki z cytryny. Smażyć jak wszystkie konfitury, przy czym specjalnie delikatnie potraszać rondelkiem, ale nie mieszać. Pod koniec wyjąć dodatki aromatyczne i przelać do wyprażonych słoiczeków.

Trwałość przygotowanych w domu przetworów zależy w dużym stopniu od stopnia czystości, jaki zachowano przy ich sporządzaniu. Butelki, słoje itp. muszą być dobrze wymyte w gorącej wodzie z dodatkiem środka myjącego lub sody, następnie wypłukane, po czym wyprażone w gorącym piekarniku albo wygotowane przez parę minut we wrzącej wodzie według następującego sposobu: w dużym garnku lub niewielkim kociołku nastawić wodę, a gdy się gotuje, włożyć do niej 2—3 słoje lub butelki i chwilę w niej potrzymać. Następnie wyciągnąć z wrzątku drewnianą, wygotowaną pałką lub łyżką opróżnić z wody i do parujących przelewać przetwór. Jeśli są to tylko butelki, to napełnić je należy po samej szyjce i od razu we wrzącej przetwór wpełznąć, na siłę, wygotowany korek. Gdy przecier będzie stygł, korek go nieco „wciągnie”, a pod nim utworzy się próżnia, bowiem stygnąc, przecier się kurczy. Po całkowitym ostygnięciu korek ewentualnie docisnąć, a następnie zalakować lub zalać parafiną ze świecy.

Weki można zamykać parą z czajnika, czystym zapalonym spirytusem lub wstawiając do naczynia z wodą i gotując w niej około pół godziny.

Twisty, po napełnieniu wrzącym przecierem, zamyka się podgumowaną nakrętką.

Feniksy, po napełnieniu do wgłębienia słoja (nie do samego brzegu!), należy wytrzeć dokładnie suchą ściereczką białą lub ligniną, aby brzeg był czysty, następnie nałożyć gumkę, blaszane wieczko i oblepić dookoła pologlasem lub domknąć sprężynką.

Kompotery, tj. wysokie słoje z szereka szyszka, butelki o szerokim otworze itp., można zalewać — po dokładnym wylaniu brzegów słoja — rozpuszczonym pechem. Po całkowitym ostygnięciu przetworu należy sprawdzić, czy nie trzeba jeszcze gdzieś pechu uzupełnić.

REGINA KOWALCZYK



KRÓTKA HISTORIA JARZYN Z NASZEJ STOLU

W różnych okresach dziejów trafiały na nasze stoly rozmaite jarzyny z różnych stron świata. **Brokiew** np. jadano w Polsce już w X wieku, za czasów pierwszych Piastów chociaż dotąd nie udało się ustalić skąd pochodzi. **Burak** natomiast, znany już XV wieków p.n.e. w Asyrii i Armenii, przywedrował do naszego kraju z egzotycznych Chin. Na Rusi jadano buraki już w X wieku, w naszych rodzimych jadłospisach pojawił się jednak dwa wieki później...

O **chrzanie** — jako przypowieść — wspominają Rej i Górnicki. Pojawił się on u nas w XV wieku, a w sto lat później dotarła z kontynentu amerykańskiego do Europy, w tym również do Polski fasola.

Jedną z najstarszych jarzyn używanych w Europie i w Polsce jest **groch**. W Grecji używano go nie tylko jako potrawy — służył też przy tajnym głosowaniu... Równie w zamierzchłych czasach przybyła do Europy — ale z Azji Wschodniej — **rebula**. Do dziś rośnie ona w stanie dzikim w Chinach. Kiedy zaczęto ją uprawiać w Polsce — nie wiadomo, w każdym bądź razie figuruje ona już w rachunkach dworskich Władysława Jagiełły...

Kalafior pochodzi z Krety, a do Polski przybył wraz z inną „włoszczyzną” królowej Bony **Kapusta** natomiast — to od najdawniejszych czasów podstawowa jarzyna w polskim jadłospisie, choć początkowo była dziko. **Marchew** znana była Grekom przed 2,5 tys. lat, a do nas — dotarła w XIV w. **ogórek** przywedrował z Indii najpierw do Niemiec, a już za Piastów pojawił się i u nas. **Pietruszka** z Sardynii przywiozła królowa Bona, podobnie jak i **seler**. **Pory** pochodzą z Egiptu, zachował się nawet przepis ich używania sporządzony przez samego faraona Cheopsa. Ponadto sam **Neron** dał pory zamiast złotych przed wystąpieniem śpiewaczynie. My z wdzięcznością pory również królowej Bonie.

Ziemniaki przybyły do Europy wraz z Kolumbem. Znały były u nas za czasów króla Jana Sobieskiego, rozpowszechniły się na dobre jednak dopiero w początkach XIX wieku. **Pomidory** przybyły z Ameryki Południowej, z Peru, w początkach XIX wieku. Początkowo uprawiane były jako roślina ozdobna i nazywane „złotymi jabłkami”. Uważano, że owoce pomidorów są trujące. Jarzyna stała się dopiero po upływie pół wieku.

A. N.



Powitanie jesieni

Po kapryśnym lecie, płatającym nam w tym roku tak wiele niespodzianek, nadeszła jesień. Jesień barwna, kolorowa, sypiąca złotymi i purpurowymi liśćmi, gryząca oczy dymami ognisk i często przejmująca chłodem. Słońce nie grzeje już tak mocno, jak w lecie, a wieczory zapadają nadspodziewanie szybko, rozpalając na horyzoncie czerwone ognie...

Najpiękniejsza jest jesień w lasach, na polach i w parkach. Gdziekolwiek snują się delikatne nitki babiego lata, w oczach mieni się różnokolorowy dywan, tkany z opadających liści, które — zanim spadną na ziemię — wirują w jakimś tanecznym kontredansie, lekko i cicho, jak małe drzewne duszki tańczące w objęciach urwisowatego wiatru...

Siedzę w domu przy oknie i spoglądam na ulicę. Ludzie przemykają pośpiesznie, gorączkowo, jakby chcąc dogonić lub nadrobić czas, który już minął. Dzieciaki beztrudno i leniwie grzebią w założonych przez siebie „ogródkach”, poprawiając rzędy kwiatków na klombach, obasypanych liśćmi i obrośniętych zrudziałą już trawą. W powietrzu unosi się kurz, wciskający się do pokoju, drapiący w nosie i gardle. Mam już dosyć tego siedzenia w bezruchu, chcę odetchnąć świeżym powietrzem i z bliska przyjrzeć się madchodzącej

jesieni. Jaka będzie w tym roku? Tego nie wie nikt, ale przywitać się z nią trzeba koniecznie!

Wybiegam z domu, kierując się w stronę parku. Ten stary park — to mój ulubiony zakątek, miejsce codziennych prawie spacerów, marzeń i wzruszeń. Wystarczy tylko przebiec dwie ulice, skrócić za kioskiem w lewo — i już się jest w cienistej, akacjowej alejce, prowadzącej do najstarszej części parku...

Akacje stoją dziś dostojne, poważne, jakby odgadując wagę powitania jesieni. Od czasu do czasu drżą leciutko, migną złotym listkiem, jakby wskazując mi dalszą drogę. Dzisiaj kieruję się w stronę parku, gdzie jest najwięcej kasztanów, buków i wiewiórek — moich wielkich i serdecznych przyjaciółek. Mam zamiar przywitać się z jesienią w cieniu potężnych kasztanów, przy których jestem tak mała, jak szary wróbelek przy białym łabędziu. Lubię chować się w ich cień i słuchać szumu ich gałęzi. Wydaje mi się, że snują one opowieść o tym, co przeżyły i widziały niegdyś, w czasach, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie. Szumią cicho i łagodnie lub głośno i gniewnie — czasem nawet trochę się boją — ale strach szybko mija, jestem tu bezpieczna jak w domu.

Siada na ławeczce pod kasztanem. W parku jest dziś spokojnie i cicho, prawie nie ma spacerowiczów. Może dlatego, że jest wczesne popołudnie zwykłego dnia, w niedzielę tutaj właśnie ciągnie największy tłum, spragniony cienia i chłodu. Słyszę szelest opadających liści, brzęczenie much i szum drzew. Rozgrzane słońcem powietrze aż drga od zapachu ziół i ziemi. Przytykam oczy, starając się wyobrazić krocząca jesień. Gdyby teraz ktoś kazał mi ją namalować, miałabym dużo trudności. Sama nie wiem, czy wyobrażam ją sobie jako stateczną, dojrzałą kobietę, idącą wolno, z pogodnym uśmiechem, w otoczeniu złotych brązowych i rdzaworudych drzew, czy też jako młodą dziewczynę, uginającą się pod nareczem barwnych astrów, zjadającą z apetytem rumiane jabłka... A może jesień to niesforne dziecko, lubiące sypać piaskiem w oczy, targać połamane płaszczy, zrywać przechodniom kapelusze z głów i świstać wiatrem kolytanki w koronach drzew?... Naprawdę trudno byłoby mi namalować jesień...

Wstaję z ławeczki i ruszam w głąb parku. Muszę nazbierać pęk najbardziej kolorowych liści do bukietu, który zasuszę i postawię w swoim pokoiku. Zeszłoroczny bukiet jest już bardzo zakurzony, częściowo połamany i nie wygląda już tak pięknie, jak wyglądał na początku ubiegłorocznej jesieni. Dziś więc zrobię nowy — prawdziwie jesienny, który będzie musiał przetrwać aż do następnej jesieni. Chodzę więc po szeleszczącym dywanie zwiędłych i opadłych liści, wybierając zeń, te które mają najbardziej ostre kolory i są jeszcze w miarę świeże. Najpiękniejsze są liście kasztanów, ale najtrudniejsze, ze względu na wielkość, do do-

bręgo zasuszenia. Nie martwię się tym jednak, mam już dużą wprawę w suszeniu i moje bukiety są podziwiane przez wszystkie koleżanki z klasy, a nawet przez mamę.

Gdy wracam do domu z moimi „śmieciami” — tak nazywa babcia moje liściane bukiety — spotykam mamę wracającą z zakupów. W siatce czerwienią się owoce, w rękę mamy lśni koloru bordo bukiet astrów. Mama uśmiecha się na mój widok, podbiegam do niej szybko i wyjmuję siatkę z jej rąk. Idziemy obok siebie przez chwilę w milczeniu, później zaczynam jej opowiadać o jesiennym parku. Mama słucha uważnie, spokojnie, rozumiejąc moje uniesienie i świeże wrażenia. Śmieje się z moich pomysłów dotyczących postaci jesieni, a w końcu obiecuje, że wieczorem, już po kolacji, pójdzie razem ze mną jeszcze raz do parku. Ubieżemy się ciepłej, może zabierzemy ze sobą tatkę — i pójdziemy razem przyjrzeć się urokowi jesiennego wieczoru, będzie to nasz ostatni letni spacer...

Na niebie, granatowym i połyskliwym, lśnią tysiące gwiazd. Idziemy całą rodziną przez opustoszały park, wsłuchując się w monotony szum drzew. Wieje lekki wiatr, przesuwał — jak niewidzialną ręką — trzeszczące pod stopami patyki i liście. Jest jakoś smutnie, ciemno, szaro... Jesień jest piękna tylko w dzień — wtedy dokładnie widać wszystkie jej odcienie i barwy... Nie odzywamy się prawie do siebie, myślami wybiegając na spotkanie długich, szarych wieczorów i późnych świtów, staramy się już teraz, na zapas, wypełnić treścią jesiennie dni, nie zawaszczę piękne i kolorowe. Jesień kroczy razem z nami przez ciemny park...

E.L.



POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

JAN HUS

U schyłku średniowiecza Czesi mocno zaczęli odczuwać potrzebę wyzwolenia się spod jarzma obcych panów, tak świeckich jak i duchownych. Władzę w Czechach sprawowali Niemcy, którzy byli doradcami króla, zależnego zupełnie od niemieckiego cesarza oraz zajmowali wszystkie wyższe stanowiska w hierarchii kościelnej. Trzymający w ciemności i wyzyskiwani do granic możliwości lud czeski i cierpiący biedę niżsi duchowni pochodzenia czeskiego, coraz jawniej okazywali swoje niezadowolenie. Człowiekiem, który walnie przyczynił się do rozbudzenia tęsknot narodowościowych i odnowy czeskiego Kościoła na zasadach sprawiedliwości był Jan Hus.

Jan Hus urodził się w ubogiej rodzinie w miasteczku Husinec. Swoją kościelną karierę rozpoczął od śpiewania w chórze. Wnet znalazł się wśród żaków na uniwersytecie praskim. Wybitnie zdolny, szybko zdobywał kolejne szczeble kariery naukowej. Cechowało go ogromne umiłowanie czeskiego języka. Widział jak wszędzie panoszyli się obcy, gardząc jego rodakami. Najbardziej bolała go niesprawiedliwość, panosząca się w Kościele. Postanowił zostać księdzem i walczyć o reformę społeczną i religijną.

Wpływ Husa na mieszkańców Pragi wzrósł wydatnie wówczas, gdy odważny uczony kapłan i patriota czeski zaczął głosić kazania w ojczystym języku. Do kaplicy zwanej „Betlejem” ściągali tłumy nie tylko ze stolicy. Potępiał w swoich wystąpieniach wszelką niesprawiedliwość. Odważył się poddać krytyce zepsucie tych, którzy kierowali Kościołem. Potwierdzenie słuszności swych postulatów znalazł Jan Hus w dziełach Jana Wiktora, angielskiego reformatora. Hus wspólnie ze swoim przyjacielem Hieronimem z Pragi przełożył

na język czeski dzieła Wiktora. Chociaż uniwersytet czeski potępiał Wiktora, Jan Hus często powoływał się na jego pisma.

Nie można jednak twierdzić, że Jan Hus był jedynie kontynuatorem poglądów swego angielskiego imiennika. Podobnie jak Wiktoria zaatakował nadużycia wyższego duchowieństwa i przyjmował predestynację, czyli wybranie niektórych ludzi do zbawienia, ale nie odrzucał dorobku Tradycji, którą obok Pisma Świętego uważał za źródło wiary. Niemiecki, a także czeski wyższy kler szybko dostrzegł groźne dla siebie akcenty w nauce Husa. Do Rzymu płynęły skargi na praskiego kaznodzieję. Papież potępił Jana Husa, a kaplica „betlejemka” miała być zrównana z ziemią. Hus musiał opuścić ukochane miasto.

W tym czasie zaczął zbierać się sobór w Konstancji, organizowany pod protektorem Zygmunta Luksemburczyka — króla Niemiec. Król Zygmunt wezwał Jana Husa do stawienia się na soborze, w celu wyjaśnienia swych poglądów. Przesłał mu nawet „żelazny list”, czyli gwarancję, że Husowi nie stanie się żadna krzywda, ani podczas drogi ani w Konstancji. Hus chociaż czuł, iż nigdy nie będzie mu dane wrócić do ojczyzny, wybrał się na sobór. W niedługim czasie po przybyciu do Konstancji zwabiono go do pałacu papieskiego na rzekomą rozmowę z kardynałami, gdzie podstępnie aresztowano Husa i osadzono jako więźnia w klasztorze dominikańskim.

W dniu 5 maja 1415 roku stanął Hus przed soborem w charakterze oskarżonego. Wrogowie zarzucali mu nawet takie tezy, których on nigdy nie głosił. Obrońcami Husa byli jedynie Polacy, ale oni nie mogli wiele zdziałać, gdyż i im zarzucano herezję. Jan Hus nie przyznawał się do zarzutów, zaś swęj nauki wyprzeczył się nie chciał, nawet dla ratowania życia. „Zapierając się prawdy zgorszyłbym najmocniej lud Boży, który ode mnie co innego słyszał w kazaniach” — odpowiadał Hus na namowy przyjaciół, by pozornie odwołał swoje poglądy. Zapadł wyrok skazujący. Husa uznano za herezyka. Jego pisma zostały spalone, a on wydany w ręce władzy świeckiej. Ten sam Zygmunt, który podpisał gwałt bezpieczeństwa dla praskiego teologa, wydał rozkaz spalania „herezyka”.

Jan Hus zginął na stosie 6 lipca 1415 roku. Prochy jego wrzucono do Renu. W rok później zginął na stosie jego przyjaciel Hieronim z Pragi. Męczęńska śmierć Husa zmobilizowała jego zwolenników. Rozpoczęły się w Czechach potężne ruchy rewolucji religijno-społecznej i narodowowyzwoleńczej, promieniujące na całą środkową Europę.

KSIADZ LUKASZ

• PORADY • PORADY • PORADY • PORADY •

Coś z ryb

Pstrągi soutés. 4 pstrągi (mniejsze), 2 ząbki czosnku, sól, pieprz, szczypta estragonu, świeża oliwa lub olej do smażenia, 4 orzeszki masła rozartego z usiekaną zieloną pietruszką, trochę soku z cytryny.

Pstrągi to doskonałe ryby, które czyści się błyskawicznie, smaży bardzo krótko. Ryby należy oczyścić z drobnutkiej łuski, rozciąć brzuchy, wyjąć wnętrzności, doskonale umyć pod bieżącą wodą. Posolić, skropić sokiem z cytryny i pozostawić tak na 5—10 minut. W tym czasie rozgrzać mocno oliwę na dużej patelni dokładnie natartej czosnkiem, dodać szczyptę pieprzu i esstragonu. Pstrągi osuszyć w papierowym ręczniku, kłaść na wrzący tłuszcz, smażyć po 5—7 minut. Ładnie, zrumienione rozłożyć na talerze, kładąc na każdym kawałek masła rozartego z zieloną pietruszką, obłożyć ziemniakami posypanymi koprem. Podać z sałatą lub inną surówką.

W ten sposób można smażyć każdą inną rybę. Smacznego!

ABC...

Zapach ryby czy cebuli łatwo można usunąć z rąk. Wystarczy umyć je w wodzie z dodatkiem garści soli.

Naczynia po rybie, śledziu czy cebuli należy zamoczyć na kilka minut w słonej wodzie, a następnie umyć soloną wodą (bez mydła) i wysuszyć. Będą błyszczące.



Do przypalonego garnka emaliowanego należy nalać wody z solą i pozostawić na noc. Rano zagotować roztwór. Garnek będzie czysty.

Wanny, miski toaletowe szorowane szmatą nasyoną solą i terpentyną wyglądają jak nowe.

Ogródek skalny na działce

Najbardziej eksponowany fragment działki, w pobliżu domku gospodarczego lub altanki, można wykorzystać do urządzenia ogródka skalnego. Szczególna dekoracyjność wynikająca z połączenia odpowiednio dobranych kamieni i roślin odznaczających się niskim oraz powolnym wzrostem jest najlepszym argumentem przemawiającym za zakładaniem skalniaków. Taki fragment doskonale pasuje również do basenu z roślinami, schodków, murków oporowych i ścieżek. Dodatkowym walorem może być zestaw roślin kwitnących od wczesnej wiosny do

późnej jesieni. Skalne ogródki można zakładać również na nieużytkach, gruzowiskach, wysypiskach kamieni itp. Po uformowaniu kształtu skalniaka za pomocą kamieni (najlepiej wyglądają duże bryły o ostrych krawędziach) uzupełniamy powstałe komory ziemią darniową, w powierzchniowej warstwie zmieszaną z kompostową. Najkorzystniejsze jest założenie podłoża jesienią, gdyż przez zimę ziemia osiadnie i wczesną wiosną można sadzić rośliny.

DESER NA NIEDZIELĘ

Krem agrestowy

1/4 kg dojrzałego agrestu, 1 szklanka wrzątku, 1 torebka galaretki agrestowej, 1/4 twarogu homogenizowanego chudego, 1/4 l śmietanki 18-procentowej, cukier waniliowy, łyżka cukru pudru, kilkanaście dojrzałych, dorodnych owoców agrestu do przybrania, szampanki do wyłożenia kompotiery.

Umyty agrest obrać z szypulek, zalać w garnuszku wrzątkiem, raz zagotować, po czym przetrzeć przez sito. Do gorącego przecieru wsypać galaretkę i wymieszać aż do rozpuszczenia żelatyny. Pozostawić do ostygnięcia. W tym czasie twaróg rozetrzeć ze śmietanką, cukrem i cukrem waniliowym, następnie miksując lub ubijając trzepaczką do piany, wlewać po trochu galaretkę. Do szklanej kompotiery nałożyć trochę kremu, następnie wokół brzegów „ustawić” półki biszkoptów, nałożyć resztę kremu, przybrać na wierzchu świeżymi owocami i pozostawić w lodówce do zastygnięcia.

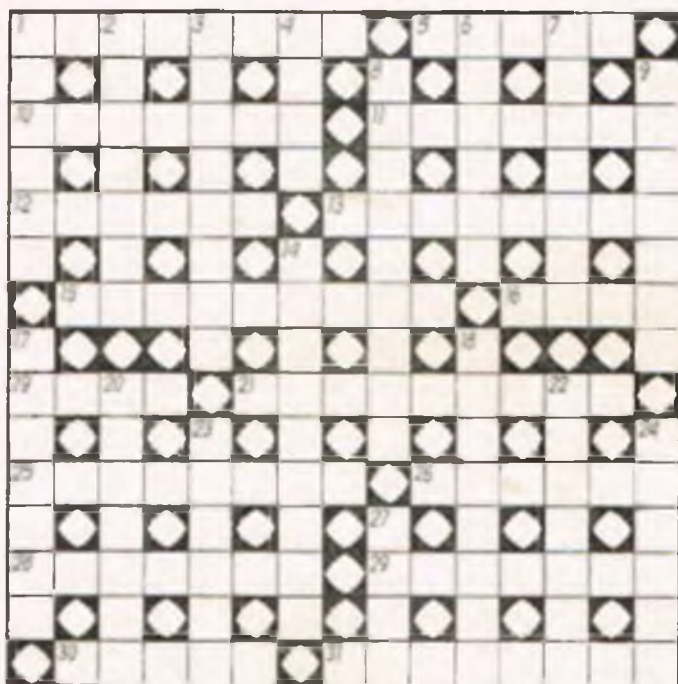
AGATA



W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1979 r. przyszły na świat dwie siostry — bliźniaczki: Agata i Monika, córki państwa Lidii i Włodzimierza Majów z Warszawy. Dziewczynki są bardzo podobne do siebie, toteż rozpoznanie ich — która jest Agata, a która Monika — nastrecza wielu trudności znajomym państwa Majów.



MONIKA



KRZYŻÓWKA nr 18

POZIOMO: 1) niejedna w tapczanie, 5) ułatwia załadunek kolejowy, 190) szuwar, sitowie, 11) bufor, ale poprawniej, 12) prawy dopływ Pilicy, 13) solenizant z 26 grudnia, 15) szwedzka metropolia, 16) część twarzy, 19) kuzynka mewy, 21) niewielki gryzoń o bardzo cennym futrze, 25) nakrycie głowy, 26) sposobność, okazja, 28) resztką, pozostałość, 29) odpadki ziemniaczane, 30) beczułka na piwo lub wino, 31) metalowy rzemieślnik.

PIONOWO: 1) naturalne źródło ciepła i światła, 2) depresja, 3) reguła, prawidło, 8) szpara, 9) gorszące zajście, 14) sprężysta, giętka tkanka zwierzęca, 17) pieniąż papierowy, 18) na progu lata, 20) ma cztery gwiazdki, 22) gra polegająca na przypadkowości, 23) karta o małej wartości, 24) miasto nad Prosną, 27) długi, przezroczysty szal, noszony przez kobiety na kapeluszu.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 18”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 14

POZIOMO: rękawica, ekipa, stragan, Aurelia, kotlet, świergot, mankament, wnuk, Anna, telewizja, internet, grusza, ratunek, kraniec, Malta, moczarka. **PIONOWO:** reszka, karekt, Węgierka, cent, korzeń, poligon, narwaniec, mantyka, śmietanka, kariera, kiermasz, notatka, jaskier, granit, kaucja, okno.

Za prawidłowe rozwiązania nagrody wylosowali: Aurelia Grajewska ze Śremu oraz Maria Czuper z Wrocławia. Nagrody wyślemy pocztą.

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. **KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJE REDAKTORA NACZELNEGO:** ks. Edward Esolkiar, bg Maksymilian Bode, ks. Józef Wojtowicz, ks. Wiktor Wyszczoński (przewodniczący Kolegium). **ZESPÓŁ REDAKCYJNY:** Marek Ambiczy, Henryk Ciak (redaktor techniczny), Marek Dzięgalewski (redaktor graficzny), Malgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Koranc, Irena Siemiątkowska (kierka).

Adres redakcji i administracji: ul. Twarowa 4, 00-662 Warszawa. Telefon redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wgłot na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i dostarczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następnny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartał 26 zł, półrocze 52 zł, rocznik 104 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u dostarczycieli. Prenumeratę ze słaniem wysyłki ze granic przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Koperacji Prasy i Wydawnictw, ul. Twarowa 26, 00-658 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-136-11. Prenumeratę ze słaniem wysyłki ze granic jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla słaniemodawców indywidualnych i o 100% dla słaniemodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Nr zam. 949. O-56.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



— Demon! demon! — szepiał w zachwycie.

I gwał za nią, aż piana buchała z pyska jego rumaka.

Waldemar stał na boku, pilnował polowania. Sam wyruszał często w skok, ale strzelał do zająca lub lisa, zanim go charty dopadły. Nie lubił procesu rozszarpywania zwierzyny. Bawili go głupie i zdumione miny chartów na widok padającego przed ich nosem martwego zwierzątka. Waldemar strzelał z konia w biegu. Apollo przyzwyczajony był do strzałów spośród własnych uszu. Częściej jednak orli wzrok ordynata biegi za karą arabką Erato...

Stefcia uganiała się po polu nie za zwierzyną, lecz dla własnej przyjemności. Lubiła konną jazdę, zwłaszcza na Erato, doskonałej wierzchowce. Stefcia uciekała jak najdalej od krwawych scen, lecz sprawiał jej przyjemność widok rozpędzonych jeźdźców i czerwonych kurtek dojeżdźaczy. Bawili ją okrzyki i trąby, drażniły zajadłe, śmigające charty, niby wąskie pstre tasiemki. I jej oczy biegły za smukłą sylwetką ordynata. Podobał jej się sposób polowania Waldemara, widziała w tym pewną estetyczną doskonałość w połączeniu z dzielnością. Harcując po polach spostrzegła pędzącą naprzeciw pannę Szeliżankę. Gdy Buckingham w pędzie zrównał się z Erato, młoda panna krzyknęła głośno:

— Na bok! Hala... li!...

Stefcia podniosła w górę pejsz.

— Halali! — powłóczyła okrzyk.

— Proszę za mną! — usłyszała jeszcze.

Pomknęła żywo za Rita, rozhawiona, aż jej oczy żarzyły się jak iskry. Nagle usłyszała rozdierający wrzask zająca. Skrzyła klacz na miejscu. Zaciśnięta usta, brwi ściągła kurcz bólu. Za delikatną miała naturę, zbyt wytworną na podobne odgłosy. Zwolniła biegu, jadąc tęgim klusem w stronę lasu.

— Nie mogę, cóż poradzę! — szepnęła do siebie zmartwiona.

Z boku zajeżdżał ją Waldemar, Apollo zarżał załotnie. Erato odpowiedziała mu z wdziękiem. Konie się zrównały.

— Dlaczego nie dotrzymała pani głosu pannie Ricie? — zapytał hamując konia.

— Nie mogłam, ulękłam się wrzasku zająca. Widzi pan, jaka ze mnie niezłoda — odparła trochę zawstydzona.

Ale jemu oczy błysnęły.

— To dobrze, niech pani będzie sobą. Tak najlepiej! Jest pani jak biały kwiat rzucony między krwiożercze zwierzęta. My tu wszyscy przy pani wyglądamy jak szakale.

Stefcia zaśmiała się.

— No, nie wszyscy. Pan na przykład...

— Ja? Morduję nie w ten, to w inny sposób. Ale uchylam czola przed instynktami pani.

Przełgał-powalał obok nich panna Barska, rozogniona, z rozwianymi włosami, istna królewna burzy. Za nią pędził Zanierki.

— Halali! — hop! hop! — krzyczała hrabianka, nie widząc Stefci i ordynata. Czy miała ukwione w charty pędzące przed koniem. Już dosięgali zająca.

Waldemar popatrzał na nią z uśmiechem.

— W swym żywocie — rzekł z lekką ironią.

Stefcia nie nie odpowiadała, klępiąc wygiętą szyję Erato. W milczeniu odjechali dalej, a gdy konie ich roznieśli, nie zawrócili już, tylko oczy obójga gonili za sobą.

W parę dni potem po rannej obławie na wilki, w której brały udział pannie, zamek głębowicki zalegała głucha cisza. Polowanie odbyło się o wschodzie słońca, o dwunastej powrócił, a po krótkim śniadaniu każdy zamknął się u siebie dla wypoczynku. Słońce oświecało pusty park, tarasy i uliczki wśród kwiatów, jakby zdziwione ciszą nie bywała od dawna.

Ordynat nie spał. Odbył długą naradę z łowczym i koniuszym, wydał nowe polecenia, odwiedził stajnię, fabrykę i powróciwszy do zamku, waleśał się po nim trochę znudzony.

— Dobrze są obławy ranne, ale nudne te sjezty — pomyślał.

Na drugim piętrze, w ogromnym sklepionym korytarzu, przeszedł się kilka razy, patrząc na staroświeckie obrazy i posągi poustawiane w niszach. Nagle zatrzymał się. Jeden duży obraz, już zblakły ze starości, przedstawiał jakąś scenę religijną. Z boku stała odwrócona profilem Maria Magdalena. W niebieskiej opończy, z przewiniętym dokoła szyi białym welonem, miała rozpuszczone długie włosy, i śliczne rzeźbione rysy. Oczy pełne wyrazu ocieplały bujne, ciemne rzęsy i regularne łuki brwi. Cała postać miała w sobie dużo powagi, lecz i ślicznej załotności. Waldemar patrzył długo i usta drgnęły mu nerwowo.

— Stefcia... — wyszeptał.

A po chwili znów:

— Bajecznie do niej podobna. Ten sam tył. Przetarł dłonią czola. Idąc dalej, myślał.

— Stefcia... Samo imię wchodzi mi do nosu. Dziwne!...

Czul, że w tym korytarzu postać Magdaleny będzie go przykuwała do siebie, postanowił wyjść. Zeszedł cicho z schodów i w wielkim przedsiönku, łączącym dwa piętra, stanął zdumiony. Naprzeciw niego również ze scho-

dów schodziła Stefcia. Była w bładoniebieskiej flanelowej sukni z luźną bluzką, na ramię miała zarzucony biały miękki szal, spod którego wyglądały włosy spuszczonego warkocza. Przed chwilą widziana postać Magdaleny stanęła przed oczyma ordynata — podobieństwo stroju wzmocniło wrażenie. Rozradowany jej widokiem, patrzył na nią bez słowa, stojąc w miejscu. Stefcia zatrzymała się także. Róż oblał jej jasną twarz.

— Pan nie śpi?

— O to samo chciałem panią zapytać.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— A to zabawne! byłam pewna, że cały zamek chrapie. Chodzę już po nim dawno, nawet zhlądziłam i muszę się przyznać szczerze: nie wiem, gdzie jestem. Pan ukazał mi się jak widmo. Pewno i ja zrobiłam podobne wrażenie? Miał pan minę zdziwioną.

Waldemar podszedł bliżej.

— Na mnie pani nie zrobiła wrażenia widma, ale widzenia. To różnica! Przed chwilą widziałem pani pseudoportret. Pójdźmy, pokażę go pani.

Stefcia żywym ruchem podbiegła naprzód i... stanęła. Biały szal zaczęła zsuwać, zakrywając spuszczonego warkocz. Wahała się czegoś

Waldemar lekko dotknął jej ręki.

— Idziemy.

— A czy to daleko?

— Już się pani boi? Czy odległości, czy mego towarzysstwa?

Zapłonęła, hiegnąc śmiało naprzód.

— Idziemy!

Waldemar, idąc za nią, myślał:

— Już cię teraz zanadto czuję, abyś się mnie obawiała miała.

W korytarzu stanęła przed obrazem.

Waldemar wskazał Stefce postać Magdaleny.

— Przed chwilą przyglądałem się jej myślarz o panii. Ogromnie podobna. Trzebaż trafu, że bezpośrednio potem urzałem panią, nawet w podobnym stroju.

Stefcia szepnęła jakby do siebie:

— Czy ja jestem taka... ładna?...

Ordynat przysunął się bliżej i pochylił.

— Ładniejsza! boś żywa, a ta martwa... bo ta spłowiła, a pani... kwitnie. Stefcia oddychała szybko, poruszona brzmieniem jego głosu. On mówił dalej:

— Ale Magdalena ma włosy spuszczone swobodnie, a pani swoje zakrywa. Widzę panią w takim uczesaniu pierwszy raz.

— Nie spodziewałam się, że kogo spotkam — odrzekła dziewczyna zamięniona.

— Ależ pani jest w tym prześlicznie! Pani powinna częściej tak chodzić. Kto ma lat dziewięćnaście, ten ma zupełne prawo do spuszczonego warkocza. Dlaczego pani tak nie nosi włosów?

— W domu nosiłam, ale tu... — nieetykietalnie — odrzekła z uśmiechem.

— Ach! dość tej etykiety!

— Pan jej nie lubi? A jednak to stały mieszkaniec tych murów.

— Wiem. Wprowadzony tu jeszcze w latach zamierczliwych, nie da się wykorzenić. Zreszta może to nadaje główny styl zamkowi.

Stefcia rozczepiła się.

— I tu nie byłam ani razu. Ołhryzmij korytarz! To dziwne: takie wysokie sklepienia straszą mię. W zamku pańskim pełno tego. Dokąd ten korytarz prowadzi?

— Do prawej wieży, gdzie jest kaplica. Chodźmy tam.

— Ale...

— Żadne ale. Cały zamek w uspieniu, jakby wymarł. Cóż pani będzie robiła sama? Do parku iść nie można, bo deszcz pada, chociaż słońce świeci. O! widzi pani?

Przez wysokie, wąskie okno w niszy wskazała jej głękitne niebo, splemione szarymi obłokami. Padał obfity, kropliasty deszcz, bijąc o szyby i spływając po nich strumieniami jak lzy. Przyémiony korytarz i to wąskie okno, zalane deszczem, w ciszy potężnych murów czyniło ponurą wrażenie, trochę klasztorne i ciężkie. Mury te wydały się Stefce klatką, ogromnym pomnikiem, przygniatającym wielką przeszłość ludzka, ale niewesołą; skala, z której wyfruwają młode orły, pełne życia, z szerokimi skrzydłami i silnym lotem, a wracają poranione, dzwigając kajdany, nałożone przez życie, jakby tradycje tych murów.

Dziwna ta myśl przejęła Stefce groza. Spod zsuniętych brwi spozjrzała ostro na Waldemara.

— Co pani myśli? — zapytał cicho, coś niemiego?

Skinęła głową.

— Ten zamek — to skala, a pan — młody orzeł... i już pan wyfrunął z gniazda, prawda? — rzekła dziwnym głosem.

Patrzył na nią uważnie.